№ 16 Warszawa, dnia 4 (16) Kwietnia roku 1881.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

O średnich naukowych zakładach w Królestwie.

Chcąc poznać gruntownie jakie społeczeństwo, dosyć jest zbadać jego szkoły, i na odwrot, poznawszy szkoły z ich dodatniemi i ujemnemi stronami, jasne mieć można wyobrażenie o samem społeczeństwie i jego aspiracyach. Jeśli między społeczeństwem a jego szkołami nie ma łączności i odpowiedniej harmonii, takie społeczeństwo nie rozwija się normalnie.

Za wzór godny naśladowania może posłużyć Ameryka, w której niejedna myśl będąca zgorszeniem dla europejskiego konserwatyzmu, znajduje zastosowanie w praktyce. Szkoły Północnych Stanów Ameryki, rozwijając się swobodnie, świetne wydały rezultaty, i spowodowały starą Europę, mianowicie też Niemców do pewnych reform i zmian w średnich zakładach szkolnych. Przez długi czas toczyły się po dziennikach niemieckich zacięte sprzeczki o to, czy w szkołach tego rodzaju dać przewagę humaniorom, czy naukom realnym. Zwolna jakoś rzecz przyszła do równowagi.

Jak kraj nasz, tak i szkoły nasze różne przechodziły fazy, a w każdej z nich odbił się duch czasu i wpływ zewnętrznych okoliczności. Zdaje się, że chwila obecna zapowiada zmianę na lepsze, gdyż obecny minister oświecenia w Rosyi zbiera materyały ku temu, wywołując uwagi, spostrzeżenia i projekty nietylko korporacyi naukowych, lecz także dziennikarstwa.

O ile te usiłowania okażą się skutecznemi, niedaleka przyszłość okaże, tymczasem zaś chcemy wyrzec parę słów wyjaśniających o naszych średnich zakładach naukowych. Zakłady te, oprócz kilku istniejących i mających istnieć szkół specyalnych, dzielą się na tak zwane gimnazya *filologiczne i realne*. A chociaż jedne i drugie właściwie nie odpowiadają swoim tytułom, są jednak przedmiotem starań i zabiegów dla rodziców, mających synów potrzebujących nauki. Zamożniejsi, czy też szczęśliwsi są tylko w kłopocie, które wybrać gimnazyum: realne, czy filologiczne, ma się rozumieć jeśli wybór jest możliwy.

Gimnazya realne, może z powodu szczupłej swej liczby, powszechnie są upragnione dla rodziców, pragnących *zabezpieczyć* los synom swoim. Rozumowania i wnioski są tu mniej więcej takie: W gimnazyach realnych młodzież zajmuje się głównie matematyką i naukami przyrodniczemi, wolną jest od ślęczenia nad łaciną i greczyzną. Młodzieniec uczęszczający do gimnazyum realnego ma w perspektywie zawód: inżyniera, mechanika, budowniczego, a ci *dotąd* tak świetne robią interesa. Gdy tymczasem uczeń wychodzący z filologicznego gimnazyum prawie nic nie umie, a nawet owej łaciny i greczyzny, nad którą tyle się namozolił. Uniwersyteckie studya nie dla każdego przystępne, a i te w rezultacie nie dają chleba, będącego dla wielu uczących się głównym, jeśli nie wyłącznym celem.

I nie może być inaczej; nasze społeczeństwo przedewszystkiem myśleć musi o ubezpieczeniu swojego bytu materyalnego, zostawiając *naukę dla nauki* szczęśliwszym wybrańcom losu.

Zachodzi tu jedynie kwestya, czy realne gimnazya rzeczywiście tak uzdolniają młodzież, iż ta z łatwością spożytkować może nabytą wiedzę? A dalej, czy każdy uczeń z filologicznego gimnazyum jest tak niezaradnym, iż ani sobie, ani drugim pożytecznym być nie może?

O wartości i wyższości jednych gimnazyów nad drugiemi, przed niedawnym czasem i u nas szeroko rozprawiano. Są to rzeczy zapomniane, chociaż ostatecznie nierozstrzygnięte.

Jak dotąd niezawsze praktyczni i do praktycznych zajęć uzdolnieni ludzie wychodzili z gimnazyów realnych, gdy z filologicznych, mianowicie przy egzaminach do wyższych zakładów technicznych, prawie wszyscy wychodzili zwycięzko. Zkądże ta anomalia? A iluż-to biegłych nawet matematyków okazało się słabemi głowami, gdy przyszło im działać na obszerniejszem polu?

To nasuwa nam myśl, że owe sponiewierane nauki klasyczne nietylko nie przeszkadzają nam w życiu praktycznem, lecz owszem niejednemu znakomite oddają przysługi, już-to ułatwiając naukę języków nowoczesnych, bez znajomości których obyć się dziś nie można, już-to rozwijając władze naszego umysłu wszechstronnie, tak, iż później każda nauka, każda specyalność nietrudną się nam staje.

Jeśli zaś nauki klasyczne nie wydają zawsze takich rezultatów, jakich się po nich spodziewaćby należało, to nie jest winą ani Cycerona, ani Horacego, lecz winą nauczycieli, którzy jakby z umysłu wszelkich możliwych używają sposobów, aby odstręczyć młodzież od nauki starożytnych języków. I metoda i wykładający podają tu sobie ręce, nic więc dziwnego, że na łacinę wszyscy powstają, chociaż ani pozytywni Anglicy, ani wyrachowani Niemcy dotąd jej nie wypędzili nietylko z uniwersytetu, lecz nawet ze szkół średnich. Muszą więc znajdować w niej trochę coś więcej, niż łamigłówkę do zabijania czasu.

Zresztą po co tu długie rozprawy: samo życie i praktyka przychodzą nam w pomoc.

Kształćmy tylko ludzi, a nie maszynki; rozwijajmy przyrodzone zdolności uczącej się młodzieży, nie naginając jej w tym lub owym kierunku,

a z każdej szkoły, byle racyonalnie prowadzonej, wyjdą ludzie zdolni, którzy w każdem położeniu, w każdym zawodzie dadzą sobie radę i staną się pożytecznymi swemu społeczeństwu.

Radzilibyśmy więc rodzicom, mającym środki po temu, aby jak najdłużej zatrzymywali synów w domu, pod kierunkiem doświadczonego pedagoga rozwijali wszechstronnie ich władze umysłowe, nie dając przewagi jednej nad drugą, a potem dopiero oddawali do wyższych klas gimnazyalnych, mniejsza o to, czy realnych, czy filologicznych.

WANDA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

Na podaniach polskich osnuty,

napisany wierszem rymowym

przez

JÓZEFA GRAJNERTA.

Z muzyką do kilku pieśni

ś. p. St. Moniuszki.

(Wykończony ostatecznie w Warszawie d. 26 Września 1880 r.)

Akt III.

(Dalszy ciąg).

Scena czwarta.

WANDA.

Bracie! jak straszne wszczynasz niepokoje;
Chcesz-że na gwałtach oprzéć rządy swoje?
Z twego rozkazu wróżkę oślepiono, —
Wstrzymałam dalsze pastwienie się —

LESZEK *(nagle).*

Pono
Roje gęślarzy siedzą w naszym dworze?
Chce mi się pląsów!

(Wydobywa miecz.)

Miecz ten im pomoże,
To smyk nie lada! — Wieszczu! dalej w tany!

DYBALT *(cofając się).*

Co robisz, królu?!

LESZEK.

Czyś ty wmurowany?!

(Zatoczywszy się, przebija Dybalta.)

Widzisz!

DYBALT *(padając).*

Och! biada. Ginę... niepomszczony, —
Wpadłem w sieć własną...

(Kona.)

SKARBIMIRZ.

Szalony! Szalony!

WANDA.

Bracie! z rozkoszą patrzysz w krew przelaną!
Czyż nam z twéj woli taki dopust dano,
Wielki Perunie! wróć nam mądre rządy.

LESZEK *(ponuro do Siepaczy).*

Czarnego trupa wynieście na żale...
Szczęśliwy! jak mu krew bryzga wspaniale.

(Siepacze wynoszą zabitego Dybalta.)

O! krwią, krwią zbryzgam oceany, lądy.
Niech pożar mózgu mojego wścieczony
Spali, spopieli ten świat przewrócony!
Och! jak mi duszno.

(Rozrywa odzież na piersiach.)

Jak pragnę ochłody!
Lumirze, przybądź na rozkoszne gody...
Ha! zgniłeś, podły. Ten miecz zrobił cuda,
Dziś mnie przedzierżgnął w króla! wielkoluda!
Och! pali. Dajcie, dajcie krwi puhary.

(Do Skarbimirza.)

Czegoż tak patrzysz na mnie, sępie stary?

SKARBIMIRZ.

Czyny twe, królu, ranią w straszne blizny
Pierś moję. Zgubę gotujesz ojczyzny.
Odkąd kraj Polan królem wita ciebie,
Psy wyją, strachy ogniste na niebie;
Okropne dziwy po nocach majaczą,
A setne matki synów swoich płaczą,
Którym ty, siadłszy w Krakusa stolicy,
Bez sąduś kazał gnić na szubienicy!
Tam z za gór pędzą wrogów czarne roje,
A ty ciemięztwem hańbisz berło swoje?!

LESZEK *(napadając).*

Zgiń!

SKARBIMIRZ *(odbiwszy cięcie, wytrąca Leszkowi miecz z ręki).*

Dość tych gwałtów! Lesi i Chrobaci!
Król nasz szalony, miecz jego moc traci, —
Zacniejszych skroni godna ta korona,
Podnieść ją, niechaj się w prochu nie kala.

(Jeden z Lechitów podnosi z ziemi koronę, za sceną okrzyk Ludu.)

Ot, huczy lud jak mórz zgniewanych fała...

LESZEK.

Krwią, krwią mi zlejcie pożar mego łona!

SKARBIMIRZ.

Niewinną zlana krwią ojczysta gleba,
Piekielnym rykiem woła pomsty nieba.

LESZEK *(napadając na Skarbimirza).*

Ha! wilkołaku.

BOGDAL *(wpadłszy z chorągwią czerwoną i młotem w ręku, bez hełmu).*

Stój! stój! nikczemniku.

WANDA *(radośnie chwytając go za dłoń).*

Ach, Bogdal! Witaj! — Lecz cóż w tym okrzyku
Zawziętym wieścisz? Chorągiew w twéj dłoni?

BOGDAL.

Wando! to znamię krew przelana płoni:
Daruj, kto życia niewinnych jest katem,
Nie może królem, ni być twoim bratem.

WANDA.

Jak to? Mów!

BOGDAL.

Najprzód wyjaśnię ci pani,
Że ja i wielu przez Leszka ścigani
Siepaczy, kryć się musieliśmy w kniei
Najgłębszych borów po za Krzemionkami,
Czekając działań pomyślnych nadziei.
Wtem wieść nas doszła, że to Leszek krwawy
Zabił Lumira, — toż dziś z toporami
Przychodzim bronić praw ojczystéj sprawy.

RÓŻNE GŁOSY.

Praw tronu!

LESZEK *(do Bogdala).*

Twa krew ma zapach świeżyzny...

SKARBIMIRZ.

Trzymać szaleńca!

(Lechici przytrzymują Leszka).

Scena piąta.

(Wbiega Wisław i Lud zbrojny w topory i młoty przewieszone przez ramię).

GŁOSY LUDU.

Precz Leszek wyrodny!

WISŁAW.

Ciemięzca rządzić nam dłużéj niegodny.
Niech żyje Wanda!

GŁOSY LUDU.

Niech żyje!

WISŁAW.

Na tronie
Ty nam siądź, Wando!

WANDA.

Oszczędźcie mi brata!
Chodzić ja nie chcę w skrwawionej koronie.

WISŁAW.

Ciesz się! tyś Wando, siostrą nie jest kata.
Przed chwilą Baba-Jaga oślepiona
Straszną tajnicę mi rzekła. Tak, ona
Klnąc się, tam głosi, srogim zdjęta bólem,
Że syn jéj Leszek jest kłamanym królem.

WANDA.

Cóż słyszę! Jakiż spadł mi ciężar z serca, —
Więc nie jest bratem moim ten morderca?
Lecz któż rodzonym był mi zamiast Leszka?

WISŁAW.

Zaprawdę rzecz ta w kraju tajnie mieszka.

(Wskazując Leszka.)

Precz z nim!

SKARBIMIRZ.

Niech tuła się wiecznie jak zbrodzień.

(Niektórzy z Ludu wyprowadzają Leszka, patrzącego ponuro w ziemię.)

WISŁAW.

Kto z Prowem zrywa, litości niegodzien.

SKARBIMIRZ.

Wando! grom nieszczęść grozi nam powodzią, —
Tyś jest jedyną ocalenia łodzią;
Twe bóstw powaby, twéj mądrości tchnienie?
Porażą burzę jak słońca promienie;
Twe serce wielkie i to przodków ostrze
W domu nam wolność, zewnątrz strach rozpostrze.

(Podniósłszy miecz Leszków z ziemi.)

Przysiągłem ojcu lechity cném słowem
Czuwać nad dolą, nad szczęściem krajowem:
Ot, miecz Krakusa, ot jego korona,
Naród ją daje, bądź nam uwielbiona!

(Podaje miecz Wandzie i koronę wkłada jéj na głowę.)

BOGDAL.

Oto chorągiew, na której ptak biały
Wskaże ci sławę zwycięzkim swym lotem.
Kędy nią wioniesz, niechaj wróg struchlały
Jak żżęte zboże upadnie pokotem.

WANDA *(odebrawszy chorągiew).*

Dobrze! Przyjmuję te święte spuścizny
Na chwałę wspólnej doli i ojczyzny.
O! Dobro-panie, Perunie łaskawy,
Ty Światowita synu! berło sławy,
Okrąż jasnością w łask hojnych promieniu,
Przeumny Prowe! daj mądrość w rządzeniu.
I Łado Polan, Radagost Pomorza
Niech w dłoń niewieścią młot pogromu złożą,
Niech pod mem berłem spłonie szczęsna zorza,
Niech się zbóż kłosy w setny plon rozmnożą.

Wisławie! strojny w wieszczowe waryto,
Przyjm nowe godło, to cnót twoich myto.
(Bogdal Wisławowi podaje z ziemi krzywulę Dybalta.)
I biegnij, ucisz naród rozjątrzony,
Niech się nie pastwi nad Leszka żywotem.

WISŁAW.

Rozkaz twój święty.
(Wychodzi.)

WANDA.

Wszakże, kto szalony,
Ten już ukaran strasznych nieszczęść młotem.
Niechaj dzień, który dał mi berło w dłonie,
Krwią męczennika w zaraniu nie spłonie.
(Kortyna zapada).

Scena szósta.

(Sala zamkowa. Wanda, w koronie na głowie, wchodzi wraz ze Skarbimirzem; za nimi dwaj Lechici przystają z boku. W sali stoi tron niezbyt ozdobny, na nim berło żelazne, obok niego chorągiew. Po ścianach tarcze, oręże, rogi turze i jelenie, w niszach urny.)

WANDA.

Więc przyszły wojska?

SKARBIMIRZ.

Jak kazałaś pani,
Wespół z kmieciami lechici zwołani
Z pod gór, z pól-wielkich Gniezna i Kruszwicy,
Od jezior Wendskich, z wszech Łęczycan ziemi
I stron Poleskich, z pachołkami swymi
Stoją obozem dokoła stolicy.

WANDA *(usiadłszy na tronie)*.

A wały ziemne robią się na nowo,
Jak zakreśliłam do około miasta?

SKARBIMIRZ.

Od chwili, jak je widziałaś, królowo,
Już drugi pas ich krętym wężem wzrasta.

PACHOŁEK *(wchodząc)*.

Drogą od Szlązka przyszli trzej posłowie
Z daleka; mówią, że niosą w swém słowie
Pokój.

WANDA.

Niech wejdą.
(Pachołek odchodzi.)

WANDA *(biorąc w rękę berło)*.

Niosą nam przymierze?
Więc to nie nasi.

SKARBIMIRZ.

Znać Niemcy rycerze;
Czarni to goście, pachołki szatanów.

WANDA.

Albo ich mistrze —
(Wchodzą: Herald, Egbert i Ulryk w zbrojach błyszczących; za nimi wszedłszy, ustawiają się z boku: Bogdal, kilku Lechitów i Pachołek.)

HERALD.

Cześć tobie, królowo!
Od Rytogara, książęcia Allmanów,
Ja, Herald, niosę wielkiéj prośby słowo.
Ma on jedyne serca swego modły,
Które nas przed twe oblicze przywiodły:
Pragnie on ślubów z tobą, świetna pani,
Za które złoży swą krainę w dani.
Kraj nasz bogactwem wszechstworzenia świeci,
Korale, perły czerpie z morskiéj toni;
Złoto z gór sypie, plon mu z rosą leci,
Sto burgów jego dzierżaw murem broni;
Słońce powstaje z nad jego krainy,
I w jego kraju zapada w głębiny.
Wszystko w oprawie złoży ci wódz dzielny,
Gdy mu, królowo, dasz wieniec weselny.

WANDA.

Bogactwem naszem — pól wdzięcznych przestwory,
Oprawą — w zwierzę opatrzone bory,
Koralem — cnoty jak gwiazdy na niebie,
Perłami — plony na złocistéj glebie.
Przy takich skarbach ja, pól tych mieszkanka,
Nie pragnę w złoto oprawnego wianka!

EGBERT.

Bądź pozdrowiona, dziewicza-królowo!
Ja, Egbert, niosę m i r u złote słowo.
Wódz nasz i książę Allemanów rzeszy
Z siłą niezmierną z brzegów Łaby śpieszy.
Męże drżą do walk z lechitów narodem;
Lecz wódz, chcąc waszéj krwi oszczędzić w boju,
Wysłał nas wprzódy gościńcem pokoju.
Kraj nasz skarbami, wasz opływa miodem, —
Śród ślubnych dzierżaw od końca do końca
Wspólną pięknością zaćmicie blask słońca;
Bogowie zbledną zazdrością targani,
Gdy u ołtarza staniesz z księciem, pani!
Piękniejszéj pary Walhala nie stawi,
Sto harf wspanialszych wdzięków nie wysławi.
Królowo! wieńcząc dwóch narodów śluby,
Przyjm to przymierze, — niech blask pary lubéj
Słońcem nam będzie, — niechaj wódz nasz mężny
U stóp twych złoży rynsztunek orężny.

WANDA.

Żaden dziewosłęb nie miał w obyczaju
Przez postrach śluby wymódz w Polan kraju,
Ani też chętnie pochlebstw czczych nie słucha
Dziewica pełna ojczystego ducha; —
Nad obce berła, nad nieznane dziwy,
Droższe jéj słońce z nad ojczystej niwy!

ULRYK.

Bądź pozdrowiona, wspaniała królowo!
Ja, Ulryk, głoszę strasznéj g r o z y słowo.
O! na Wodana, klnę w księcia imieniu,
Gdy zamkniesz uszy w twardém zaślepieniu.
Pan mój wam spadnie sępem na ruinę.
Klnę-ś na Donara i piekielne bogi!
Zahuczy ziemia pod jego rumaki,
Grody, wsie, miasta w pył runą pożogi,
Żelaznych mężów tłumne brzękną roje,
Rozniosą pożar świecące szyszaki,
W nicość wam znikną kryte skórą woje!
Zważ więc, królowo, czem grozi pan dzielny,
I odwróć wojnę przez wieniec weselny.

WANDA.

Idźcie rzec księciu, żem do walk gotowa;
To są odprawy sromotnéj me słowa:
Nie na to wolne wyrosły Polany,
Bym ich swym ślubem okuła w kajdany —
Ślubem, przez który chytrość Rytogara
Mych ludów rzesze ujarzmić się stara.
O! kto przez oręż serce podbić pragnie,
Ten w podłym prochu rychlej kark swój nagnie.
Zobaczym, żali wasz Wodan krwi chciwy
Przed Radagostem nie złamie cięciwy!
Słyszycie! tylko z ojczystych polanek
Polej z liliją rośnie mi na wianek.
(Odchodzą: Egbert i Ulryk. W głębi zostaje Herald.)

Scena siódma.

WANDA *(powstawszy z tronu, do obecnych)*.

Niech wprzód snem wiecznym w ciemnéj ziemi śpię,
Niźli ja kiedy splamię berło me!
Rozesłać wici do Baltyku fal,
Niech zewsząd bratnia spłynie ku nam stal,
Od błoń Polanów do Chrobackich gór
Z kmieci i lechów niech wyrośnie mur!
(Chwytając za chorągiew.)
Niech pod to znamię w groźny stanie czas,
Dzid, strzał, toporów, mieczów straszny las;
Niech rolnik w polu rzuca lemiesz swój,
Niech zmilkną wiece, gdy o wolność bój!
(Oddając Skarbimirzowi chorągiew.)
Ot, Skarbimirzu, chorągiew wsławiona,
Od dziś z jéj fałdów strach, jęk, wieje burza;
Od dziś na szczycie zamku ma tkwić ona,
Niech grożąc wrogom, w chmurach szczyt swój [nurza!

SKARBIMIRZ.

Stanie się zadość rozkazom.
(Odchodzi z chorągwią, za nim Lechici.)

BOGDAL.

Królowo,
Bogdanko! wolnoż dziś mi rzecz to słowo,
Co się zrodziło w szczęsnych uczuć toni —

WANDA *(podając mu dłoń)*.

Królowa tego z serca nie uroni,
Co czuła Wanda pod rozkosznem tchnieniem
Wzbudzonych rojeń, — ach tyś mię marzeniem
Spowił tak cudném, że tak się nie splata
Dąb z swą jemiołą w zawiązki miłosne,
I modre niebo nie kocha tak wiosnę
Strojną kwiatami, jak się z tobą brata
Zachwyt méj duszy, Bogdalu kochany,
Gwiazdo mych uczuć! —

BOGDAL.

O! prześliczne kwiecie,
Czemuż ci teraz burzliwe zamiecie
Grożą? I czemuż krwi żądne Allmany
Nasz świat nam mroczą! — Niech więc z Rytogarem
Zewrę się mieczem po zwyczaju starym,
Przetnę na poły jak syczącą żmiję,
Drgające cząstki w naszą ziemię wryję, —
Zezwalasz, Wando?

WANDA.

Niech cię wiodą bogi,
Wszak, aby gadu przeciąć dni osnowę,
Trzeba mu śmiało nastąpić na głowę.
Idź, wróć zwycięzcą w te sieroce progi.

BOGDAL.

Żegnam na krótko, marzeń mych dziewico!
Dłoń twa płomienna, cudna jutrzenico,
Wlewa mi w duszę bóstw nadziemskie czary,
I w cześć zwycięztwa gotuje puhary.
(Wychodzi.)

WANDA.

Idź, my na twego tryumfu obchody
Z tysięcy ulów sycić będziem miody.
Cobądź los zdarzy, ja będę mu stałą;
Wróg tylko martwe mieć może me ciało!
(Wychodzi.)

HERALD *(występując z głębi sceny)*.

Ta mnie dziewica swym zabiła czarem.
Nie chcę mieć wspólnych czynów z Rytogarem; —
Kazał mi uchem czujném chwytać wieści:
Jakie tu siły tej dłoni niewieściéj?
Lecz ja ohydną szpiega zrzucam szatę,
Bo w czci téj pani wyższą mam zapłatę.

Koniec aktu trzeciego.

(D. c. n.)

PRUSACY W FRANKFURCIE,

przez

ALEKSANDRA DUMASA.

przekład

J. B.

(Dalszy ciąg).

III.

Hrabia Edmond von Boesewerk.

Szukano i łamano sobie głowy, chcąc odgadnąć przyczyny takiej łaski i przewagi, jaką cieszy się w obec swego monarchy, hrabia von Boesewerk — zdaje się łatwo odpowiedzieć na to: zawdzięcza je swoim zasługom i genialnym zdolnościom, jakich nawet nieprzyjaciele odmówić mu nie mogą.

Ileż to legend kursuje o pierwszym ministrze! Ale zanim przytoczymy jedną z nich, pozwalamy sobie powtórzyć inną, posłyszaną w Frankfurcie, tem więcej, że obiedwie odnoszą się do posuniętej w Prusach do największej przesady etykiety i karności wojskowej.

— Pewien jenerał pomerański, stojący garnizonem w Darmsztadzie, nudził się, jak tam nudzić się można, to jest że pragnął pożaru, rewolucyi, trzęsienia ziemi, choćby z tego najstraszniejsze wyniknęły nieszczęścia, byle za to znalazł chwilkę rozrywki. Siedział w oknie upatrując przechodni którzy nie przechodzili. Wtem zoczył z daleka oficera nadchodzącego bez szpady — straszna rzecz! takie wykroczenie przeciw karności wojskowej!...

— A! zawołał uradowany jenerał, porucznik zapłaci za moje nudy. Dziesięć minut badania i pietnaście dni aresztu. Nie stracę dnia!

Porucznik zbliżał się nie przewidując co go czeka; gdy już był blizko, jenerał zawołał:

— Poruczniku Rupert!

Podniósł głowę i zobaczył w oknie jenerała, a jednocześnie spostrzegł, iż zapomniał szpady. Zrozumiał grożące mu niebezpieczeństwo, ale niepodobna było wracać się po szpadę, jenerał widział go bez niej, nie było rady, należało poddać się losowi i wysłuchać bury.

Jenerał był rozpromieniony; zacierał ręce jak człowiek uradowany, że nareszcie znalazł czego szukał — to jest upragnioną rozrywkę.

Widząc że niepodobna uniknąć czekającego go losu, porucznik wchodzi do domu, gdy wtem spostrzega w przedpokoju wiszącą na ścianie szpadę.

— A! tego mi trzeba! rzekł sobie.

Zdjął i przypasał szpadę, poczem z najniewinniejszą w świecie miną wszedł do jenerała, i stając we drzwiach, rzekł z ukłonem:

— Pan jenerał raczył mnie zawołać.

— Tak panie, odrzekł tenże z nader poważną miną, chciałem zapytać...

Nie dokończył, zobaczywszy że oficer ma szpadę. W jednej chwili twarz jego inny przybiera wyraz, uśmiech pojawia się na ustach.

— Chciałem zapytać pana... a! o cóż to u dyabła chciałem się zapytać?... Aha! wiem już, o to jak się miewa rodzina twoja, kochany Rupert, a szczególniej ojciec twój który mnie bardzo żywo obchodzi.

— Jakże byłby uszczęśliwiony, gdyby mógł wiedzieć o łaskawych dla niego względach pana jenerała — ale, na nieszczęście już od lat dwudziestu przeniósł się do wieczności.

Jenerał spojrzał na porucznika z osłupieniem.

— Czy nic więcej pan jenerał nie ma mi do rozkazania? zapytał Rupert.

— Nic, odrzekł; tylko przestrzegam cię, poruczniku, nie wychodź nigdy bez szpady, gdybyś jej nie miał teraz, byłbym zmuszony skazać cię na dwa tygodnie aresztu.

— A! za nic w świecie nie dopuściłbym się tego! — i śmiało wskazał na szpadę którą miał przy boku.

— Widzę, widzę, kochany Rupert; no, bywaj zdrów!

Porucznik nie omieszkał korzystać z pozwolenia; ukłonił się, a wszedłszy do przedpokoju, odwiązał szpadę, powiesił na swojem miejscu i wyszedł. Jenerał znowu stanął przy oknie, a nie widząc u oficera szpady, zawołał żony będącej w drugim pokoju. Przyszła w tej chwili.

— Chodź tu, proszę i spojrz na tego odalającego się oficera.

— Patrzę na niego.

— Czy widzisz go?

— Doskonale.

— Czy ma szpadę?

— Nie ma.

— Otóż mylisz się; zdaje się, że jej nie ma a jednak ma.

Pani jenerałowa nie oponowała — przywyczaiła się wierzyć ślepo mężowi. Co do oficera skończyło się na strachu, ale pamiętając przestrogę jenerała, nigdy już odtąd nie wychodził bez szpady.

Otóż podobne nieszczęście, a nawet gorzej niż nieszczęście bo upokorzenie, o mało nie spotkało dzisiejszego monarchę Prus, gdy jeszcze był tylko następcą tronu. Hrabia Edmond von Boesewerk, wówczas krótko Edmond von Boesewerk, był przyłączonym do ambasady w Frankfurcie; gdy następca tronu zatrzymał się w wolnem mieście, udając się na przegląd wojska w Moguncyi, panu von Boesewerk przypadł zaszczyt towarzyszenia mu w drodze z Frankfurtu do Moguncyi.

Było to w sierpniu, w wagonach było niesłychanie gorąco, tak więc wbrew pruskiej etykiecie, książę rozpiął mundur. Za przybyciem do Moguncyi, miały powitać księcia pułki pruskie, uszykowane z obu stron dworca kolei. Książę dojeżdżając zapiął mundur, ale przypadkiem opuścił jeden guzik. Postrzegł to pan von Boesewerk właśnie w chwili gdy już książę miał wysiadać, przybiegł do niego pędem wołając:

— A! W. K. Wysokość, cóż byłby uczynił!...

I z kolei zapominając, że ceremoniał dworski nie dozwala dotykać się książąt krwi, pociągnął za dziurkę i zapiął guzik. Otóż bardzo wiarogodna osoba opowiadała iż od owej chwili datuje się łaska monarsza jaką cieszy się pan von Boesewerk. Wypadki z roku 1858 postawiły króla w tak trudnem położeniu, iż uznał że tylko mąż który ocalił w Moguncyi jego honor wojskowy, zdoła uratować koronę. Wtedy to pan von Boesewerk został przywódzcą *stronnictwa junkrów*, którego przedstawicielką była *Gazeta Krzyżowa*.

Był to przywódźca jak najwłaściwszy; posiadał dar wymowy, siłę myśli i energiczną działalność. Nie ukrywał wcale, że dla niego dobre są wszelkie środki byle tylko prowadziły do celu, a gdy już doszedł do niego, z wyżyn trybuny rzucił osłupiałej Izbie owe sławne słowa streszczające nietylko całą jego politykę ale oraz będące jej następstwem: *Siła przed prawem!*

Przed prawem, to jest przed słusznością i sprawiedliwością, o które ludzkość walczy od tylu wieków!

Junkier partei którego pan von Boesewerk był wówczas przywódzcą, składa się głównie z młodszych synów szlachty, zniewolonych szukać karyery już to w wojsku już w administracyi, gdyż w przeciwnym razie staje się ciężarem dla starszych braci, zniewolonych żywić ich i utrzymywać z pewną wystawnością. Otóż, z nader małym wyjątkiem, w Prusach nie ma starej arystokracyi, a szlachta nie odznacza się ani bogactwem ani wyższem ukształceniem. Kilka zaledwie nazwisk sięga dawnych dziejów Niemiec, niektóre zapisane są w militarnych rocznikach Prus, reszta, to jest ogół szlachty, nie może poszczycić się historyczną świetnością, a posiadłości posiadane przez nią, zaledwie od stu lub stupięćdziesięciu lat są własnością tych rodzin.

Tak więc większość członków stronnictwa liberalnego i postępowego w Izbie poselskiej, zależni są od rządu, już to skutkiem swego położenia już urzędowania, zkąd zaden nie jest w stanie popierać walki przeciw despotyzmowi przygniatającego dziecię od chwili gdy rzeczywiście zaczyna żyć, kierującego niem w młodości i nieodstępującego do ostatniej życia chwili.

I dlatego to pan von Boesewerk mógł zawsze bezkarnie znieważać Izby i deputowanych, wiedząc dobrze iż skargi ich nie znajdą echa w kraju. Trudno sobie wyobrazić jak ubliżająco traktowano deputowanych na dworze; nie zajmowali żadnej rangi i tylko przed służbą mieli pierwszeństwo.

Poniżenie poczucia moralnego w Prusach i w innych prowincyach teutońskich, jest wynikiem nacisku intellektualnego, datującego się od chwili przewagi domu Hohenzollern'ów w Niemczech. Nietylko dynastya ta nie zachęcała nigdy sztuk i literatury, nie wywierała wpływu cywilizacyjnego, ale, powtarzamy, od chwili jak przywłaszczyła sobie polityczną przewagę w Niemczech, rozpoczął się ich upadek moralny, przemienienie się Minerwy w Pallas, czyli bogini Mądrości, w boginię Wojny. A wiadomo przecież, że pałaszem nie można temperować piór.

W roku 1866 hrabia von Boesewerk osiągnął cel zamierzony: rządzić bez budżetu, znieważać reprezentacyę narodową, prześladować prasę, gwałcić traktaty — byle tylko zwyciężyć na placu boju, i zadowolnił tem zupełnie liberałów pruskich.

I wtedy to, w pierwszych dniach czerwca, jeden z posłów mniej widać liberalny, ale z pewnością lepszy patryota, powiedział hrabiemu von Boesewerk w obec całej Izby:

— Tak, czasowo niepodobieństwo nawet jest możebnem, ale nie zapominaj pan o tem, że tylko czasowo!

IV.

Hrabia von Boesewerk wyzwala się z niepodobieństwa.

Otóż od trzech miesięcy hrabia von Boesewerk *znajdował się w niepodobieństwie,* i ani podobna było przewidzieć kiedy i jakim sposobem zdoła się z niego wydobyć. Pomimo ważnych spraw toczących się od Chin do Meksyku, oczy całej Europy na niego były zwrócone.

Starzy ministrowie, obeznani z wszelkiemi podstępami i wykrętami dyplomacyi, śledzili go z lornetą w ręku, nie wątpiąc, że minister-nowator musiał znaleźć na tronie wspólnika polityki, której podobnej nie było przykładu w dziejach świata. W przeciwnym razie byłby chyba szkodliwym waryatem.

Młodzi dyplomaci, przyznający sami iż nie dorównywają Talleyrand'owi, Meternich'owi, Nesselrode'mu, badali go bacznie, sądząc, że rozpoczyna się era nowej polityki, mającej epokę ich podnieść

do szczytu wyżyn, i zadając sobie pytanie jakie Niemcy powtarzają od lat trzystu:

— *Ist es der Mann?* (Jest-że on tym mężem?)

Aby Czytelnicy zrozumieli znaczenie tego pytania, musimy powiedzieć iż jak żydzi Messyasza, tak Niemcy oczekują oswobodziciela, i ilekroć okowy zanadto im ciężą, przyzywają go i wołają:

— *Wo bleibt der Mann?* (Gdzież mąż ów się kryje?)

I od dawna już wytworzyło się w Niemczech stronnictwo kryjące się w cieniu, ale groźne i oczekujące chwili działania, jak to powiedział Heine: „W niemczech piorun jest, co prawda, Niemcem także; nadchodzi ciężkim krokiem i toczy się powolnie — ale nadejdzie!

„Gdy usłyszycie trzask i grzmot jakiego nie słyszano jeszcze w dziejach świata, wiedźcie że to niemiecki piorun dobiegł nareszcie swego celu.

„Na ten odgłos, orły szybujące w wysokich przestrzeniach, padną martwe; lwy przebywające w najodleglejszych puszczach Afryki, pospuszczają ogony i skryją się do swych królewskich jaskiń. Wtedy odegra się w Niemczech dramat obok którego Rewolucya francuzka 1789 roku *wyda się niewinną idyllą.*"

Lecz czy ten na którego galerya zwrócone miała oczy, *był lub nie był owym mężem*, czy należał do starej czy nowej dyplomacyi — mniejsza o to; dość że zamierzał zniweczyć równowagę europejską, i każdy pewny był, iż lada chwila on zażąda rozwiązania Izby — lub Izba postawi go w stanie oskarżenia.

Zdobycie Szlezwig-Holsztynu wyniosło go do szczytu powodzenia, ale nowe zawikłania z powodu elekcyi księcia Augustenburskiego, wszystko, nawet geniusz hrabiego, podawało w wątpliwość; to też, w długiej rozmowie, jaką dnia tego miał z królem, właśnie w chwili rozpoczęcia naszej opowieści, zaczął sam dostrzegać iż przewaga jego słabnie, i to oziembienie monarchy przypisywał nieprzyjaznemu wpływowi królowej.

Wprawdzie dotąd hrabia Edmond działał wyłącznie w własnym interesie, nie wydając się ze swemi projektami i oczekując przyjaznej chwili w której przedstawieniem ich wielkości i możebności urzeczywistnienia odzyska wpływ swój na umysł monarchy, i śmiałym zamachem stanu wytworzy sobie niedającą się podkopać potęgę i siłę.

Z tą myślą wyszedł od króla, licząc na to, że znane mu depesze telegraficzne, zbudzą w mieście zwrot przychylny jego planom i wojnie której pragnął, jako stanowiącą dla niego najpewniejszą deszczkę ocalenia.

Wyszedł z pałacu tak głęboko zatopiony w myślach, iż zaledwie dostrzegł wzburzenie panujące w stolicy. Nie zwracając uwagi, gdy przechodził przed teatrem, jakiś dwudziestokilkoletni młodzieniec, który stał wsparty o kolumnę, opuścił to stanowisko i szedł za nim jak cień gdzie tylko musiał zbaczać z drogi z powodu natłoku. Jednakże parę razy, jak gdyby skutkiem prądu magnetycznego ostrzegającego człowieka o grożącem mu niebezpieczeństwie, uczuł że ktoś śledzi za nim i obejrzał się, — ale zobaczywszy młodzieńca elegancko ubranego, zdającego się należeć do jego towarzystwa, przestał zwracać na niego uwagę. Dopiero minąwszy ulicę Fryderyka, przechodząc z prawej strony promenady na lewą, postrzegł z zadziwieniem, że młodzieniec ów poszedł tuż za nim. Wtedy postanowił iż jak tylko oddali się tyle od tłumów iż nie zwróci ogólnej uwagi, zapyta owego młodzieńca czemu nieodstępnie jak cień ściga ciągle za nim. Ale tenże nie czekał na to; zaledwie parę kroków uszli ulicą na którą się zwrócili, dał się słyszeć wystrzał, i hrabia uczuł przelot kuli tuż obok swego kołnierza. Wtedy hrabia odwrócił się nagle i jednem spojrzeniem ogarnął: dym z wystrzału, rewolwer wymierzony ku niemu, zabójcę trzymającego palec na cinglu i zamierzającego strzelać powtórnie. Odważny z natury, hrabia Edmond nie pomyślał ani o ucieczce, ani o przyzwaniu pomocy, ale natychmiast sam rzucił się na zabójcę. Tenże, na chybił trafił, wystrzelił raz drugi i trzeci — ale chybił. Czy to, że nieodstępnie od wzruszenia wywołanego zawsze podobnym czynem, ręka zabójcy drżała, czy że Opatrzność nie chciała dopuścić spełnienia zbrodniczego czynu, strzały padały na prawo i na lewo, nie dotykając hrabiego.

Hrabia jedną ręką pochwycił zabójcę za kołnierz, drugą ujął kolbę rewolweru; padł jeden jeszcze strzał, który lekko zranił go w rękę. Nie puścił jednak mordercy, obalił go i oddał nadeszłym oficerom pruskim, a rewolwer schował do kieszeni. Korzystając z tak przyjaznej sposobności z właściwą geniuszowi rzutnością, hrabia zwrócił się napowrót ku pałacowi, aby wyzyskać tę przygodę na korzyść swoich planów.

Szedł wśród podwójnego rzędu publiczności, której tłumy rozstąpiły się przed nim, napaść jakiej był przedmiotem, oraz odwaga i zimna krew jakie okazał, zwróciły ku niemu, jeźli nie ogólne współczucie, to przynajmniej ogólną uwagę. Tak stronnicy jak i przeciwnicy jego z poszanowaniem schylali głowy.

(D. c. n.)

KORESPONDENCYA

Z GALICYI.

Marzec.

Postne zajęcia. Towarzystwo zaliczkowe. Ruch stowarzyszeń. *Rodzina.* Panicze. Strzał do katarynkarza. Podatek domowy, naftowy, gruntowy. Wybory. Koło literackie. Polskie koronki. Wystawa pamiątek po Sobieskim w Krakowie.

Znacie zapewne, Szanowni Czytelnicy, ową anegdotę o owym Turku —, więc słuchajcie. Pewien poseł Wielkiej Porty był obecny na popielcowem nabożeństwie po hucznym karnawale. Zapisał więc sobie w pamiętniku: „u chrześcian w zimie nastaje czas, w którym wszyscy zostają tknięci szałem; gdy ten dochodzi do najwyższego stopnia, imanowie ich zabierają się do leczenia i pewnego dnia zebrawszy chorą ludność do swoich meczetów, posypują głowy jakimś cudownym proszkiem i nagle wszyscy chorzy przychodzą do rozumu." Błogosławiona to rzecz post i słusznie ten Turek napisał, że przychodzimy do rozumu, zaczynamy obliczać się, kurczyć, pościć, leczyć rany zadane kieszeni, płacić długi, jeźli jest z czego. A nietylko prywatni rozglądają się, otrzeźwiawszy w swoich interesach. Wszystkie instytucye zwołują walne zgromadzenia i przedstawiają im rezultaty rocznych prac i zabiegów. Zajmującą byłoby to rzeczą przyjrzeć się robotom tych zakładów, które podtrzymują u nas życie ekonomiczne, ale wątpię czy moje Czytelniczki chętnie widziałyby kolumny cyfr przeróżnych — byłoby to zbyt wielkiem umartwieniem nawet na post, czytać taką miesięczną kroniczkę. Warto wszakże rzucić okiem na wyniki stowarzyszeń. Oto np. *Towarzystwo zaliczkowe* 10 lat temu liczyło 290 członków, którzy na udziały włożyli 3,511 złr., wkładek na książeczki było 11,684, czysty zysk wynosił 51 złr., pożyczek udzielono 22,910 rłr., ruch kassowy doszedł do 58,979 złr. po dziesięciu latach, to jest w minionym roku Tow. liczy członków 1798, na udziały włożono 120,633 złr., wkładki obcych na książeczki wzrosły do 376,432! czysty zysk 14,602, pożyczek udzielono na 1,258,516, ruch kasowy wyniósł 4,170,641, a fundusz rezerwowy doszedł do 12,000 złr. Co za kolosalny istotnie postęp! Pożyczek udzielono więc 600 razy tyle co w pierwszym roku! Jakie zaufanie publiczności która na książeczki włożyła blizko 400,000 złr, t. j. 40 razy tyle co 10 lat temu. Ilu ludzi ocalonych od lichwy, od ruiny, ilu rzemieślników, kupców i przedsiębiorców znalazło poparcie finansowe i może mają dziś byt zapewniony! Nie dziw, że jak prywatni ludzie tak i Wydział krajowy gdzie mogą starają się zawiązywać takie kasy zaliczkowe, którym tyle kraj zawdzięcza. Wogóle ruch towarzystw nie ustaje: jedne upadają, drugie się tworzą, inne walczą z trudnościami, ale swego życia bronią i jeżeli na wszystkich polach głęboki sen panuje, to groźny stan ekonomiczny kraju zmusza ludność do skupienia się w ciała należycie zorganizowane żeby społeczny byt ocalić. Nie wszędzie to jednako; jedne miasta więcej się ruszają, drugie mniej, nie da się jednak zaprzeczyć, iż w tym jedynym kierunku postęp jest znaczny.— Długie arkusze napisałbym regestrując powstające stowarzyszenia, które bądź co bądź są oznaką pewnego życia i zasługują na wspomnienie. Miarkować się jednak muszę i zadowolnić się wymienieniem *Rodziny, towarzystwa wzajemnej pomocy rękodzielników i przemysłowców*, zawiązanego w tym miesiącu staraniem p. Szczepana Wicherka. *Rodzina* ma na celu dostarczać swoim członkom doraźnej pomocy w razie nagłej potrzeby, utworzyć fundusz dla wdów i sierot, zapewnić rodzaj emerytury dla niezdolnych przez wiek lub kalectwo — nadto zająć się wychowaniem nowych generacyj do praktycznych zawodów, zaprowadzeniem nauk teoretycznej i praktycznej, udzielaniem pomocy i stypendyów i t. d. Zakres ogromny i piękny. Z radością witamy te szlachetne zamiary, bo tak się podnosi kraj w zaniedbaniu przez rząd będący, tak się walczy najskuteczniej przeciw szalonym teoryom socyalnym. O ile wiemy lwowska *Rodzina* ma już w przeciągu dwóch tygodni kilkoro potomstwa, bo oto w czterech czy pięciu miastach na prowincyi zawiązały się filje. Szczęść Boże zacnej pracy.

Nie we wszystkich niestety! sferach widać to dążenie do poważnego obywatelskiego zajęcia się sprawami kraju i społeczeństwa. Tam właśnie, gdzie środki są największe, gdzie możność wszechstronnego kształcenia się, a następnie czynienia dobrze i drogą moralnego wpływu i materyalnej pomocy, a choćby tylko poczciwym przykładem, nie widać tam właśnie zmiany na dobre. Majętna młodzież nie uczuwa potrzeby nauki, przełazi szkoły średnie, bo bez dyplomu z ukończonego gimnazyum nigdzie *figurować* (umyślnie używam tego wyrazu) nie można, zapisuje się najzwyklej na wydział prawny, ale profesorów widzi tylko przy zapisie, czas jak najnędzniej marnuje, przed egzaminami się cofa i... przepada gdzieś, zmarnowawszy ojcowski majątek. Rzecz to dziwna, w żadnym uniwersytecie niepraktykowana, ale rozdział kastowy u nas tak w szkole politechnicznej jak na wszechnicy jest między młodzieżą tak wielki jak w towarzystwach. Nieszlachta, pogardliwie traktowana przez utytułowanych kolegów, wcale z nimi nie żyje, żadnych stosunków nie ma. Pewne okoliczności tylko zbliżają

na chwilę majętniejszych z uboższymi, poczem jedni dla drugich są zupełnie obcymi. Panicze, zwani terminem miejscowym *Gogami*, odznaczają się hałaśliwością swoją w miejscach publicznych, rubaszną zuchowatością, lekceważeniem publiczności, niegrzecznością dla kobiet i innych sfer, i mizerną hulanką. W tych dniach odbyty proces charakteryzuje dosadnie jak się może ludziom w głowie pozawracać, gdy pycha weźmie górę w umyśle niedowarzeńców, do jakiej pogardy dla ludzi posunąć się można. Oto co sąd powiatowy miał do osądzenia. Około 3-ej po południu w mieszkaniu jednego z paniczów z przewróconą głową grano już w karty. Na obszerne podwórze kamienicy wszedł ślepy katarynkarz wiedziony przez żonę i począł wygrywać „najulubieńsze tańce." Podrażniło to nerwy panicza, wziąwszy więc wiatrówkę wybiegł na ganek i strzelił do „wróbla", jak się tłomaczył w sądzie, a w rzeczy do katarynkarza, którego obiecał kolegom wystraszyć. Starzec ślepy padł zalewając się krwią płynącą z rany w głowie. Dostojny hrabicz zbiegł i wcisnął 5 zł. (sic!) żonie zranionego i byłby rzecz załagodził, ale nadeszła policya i aresztowała winnego. Sąd skazał rycerskiego potomka szlachetnego rodu za strzelanie do bezbronnych ślepych starców na 400 złr. kary i zapłatę kosztów leczenia. Gdybyż był panicz zabił „wróbla", który mu po głowie lata!

Obok tego procesu odbywał się inny, tak bolesne robiący wrażenie, taką głębię odkrywającą braku moralnych zasad, że wolę niedotykać tej rzeczy szpecącej warstwę, która czystością nieskalaną świecić powinna.

Jak wspomniałem na początku listu, wielka cisza postna zaległa nasze miasto. W teatrze prawie nic nowego, koncertów zaledwie parę i to przy małym udziale publiczności, księgarski ruch żaden, bo ani jednego dzieła nie wydano, zaledwie parę broszur mniejszego znaczenia. Oczy nasze były zwrócone ku Wiedniowi, a mianowicie ku Radzie państwa, w której rozgrywały się nasze interesa. Podatek od nafty, który mógł zabić nasz przemysł naftowy, a od którego uratowała nas polska delegacya, to jedna sprawa, podatek domowy grożący przeważnie naszej ludności wiejskiej, sprawiedliwie rozłożony, dzięki zdolności, przytomności i wymowie polskiego sprawozdawcy kommisyi, to druga; nareszcie podatek gruntowy, który mógł zrujnować pół Galicyi przeprowadzony (można już to dziś twierdzić) w Radzie państwa a oparty na słuszniejszych podstawach wskutek energii i niezbitych argumentacyj ministra polaka, to trzecia. Wielki ciężar spadł nam z serca, odetchnęliśmy po długiem, pełnem prawie przerażenia oczekiwaniu. Pojmujecie, że ogół tak ważnemi rzeczami zajęty nie mógł oddawać się rozrywkom lub umysłowym zabawom. W dodatku wybory to do sejmu, to do Rady państwa na miejsce trzech zmarłych pracowników, o których poprzednio pisałem, zajmowały dość silnie umysły. Nie wszędzie poszły one po naszej myśli, bośmy znów lekceważyli przeciwników.

Zawiązane, rok temu, *koło literackie*, rośnie w liczbę i rozwija się powoli. Na posiedzeniach zajmujące bywają odczyty i rozprawy w różnych kierunkach. Na ostatnich posiedzeniach roztrząsano wniosek p. Amborskiego, który zaproponował żeby *koło* zajęło się w granicach możliwych czuwaniem nad czystością języka bardzo w piśmiennictwie naszem skażonego. Na zaproszenie Wydziału kasyna miejskiego *koło literackie* zgodziło się na wygłoszenie kilku odczytów dla członków tegoż kasyna. PP. Kantecki, Horain i Ochorowicz rozpoczęli seryę tych odczytów, ale liczby ich całej nie znamy.

Panie nasze z przyjemnością zapewne się dowiedzą, ze mamy już polskie koronki. W *muzeum przemysłowem* we Lwowie wystawione są roboty szkółki koronkarskiej w Pieniakach, założonej staraniem Hr. Włodzimierzowej Dzieduszyckiej. Są to koronki klockowe, bardzo chwalone przez znawców. Muzem przemysłowe (tak należy adresować listy) przyjmuje zamówienia i pośredniczy w sprzedaży. Czyby nie dobrze było, żeby nasze panie podtrzymały młodą szkółkę zamawiając lub nabywając koronki wyrobu tej wiejskiej instytucyi? Polecamy to ich sercu i dobrze pojętemu interesowi.

W 1883 r. obchodzoną będzie w Wiedniu 200-letnia rocznica oswobodzenia tego miasta od Turków. Wdzięczni Niemcy, jak zawsze tak i teraz, starają się zepchnąć Sobieskiego na drugi plan, a całą zasługę zwycięztwa przypisać księciu Lotaryńskiemu. Naturalnie, Polacy rozpoczęli działanie aby tej krzywdy nie dopuścić. Oprócz tego powzięto myśl urządzenia w Krakowie Wystawy pamiątek po tym królu-bohaterze. Utworzono komitet i wybrano delegatów po znaczniejszych miastach. Nie wiemy kogo mianowano w Warszawie, ale jesteśmy pewni, że jest już ktoś mianowany. Sądzimy, iż obowiązkiem jest wszystkich przyczynić się do tego dzieła. Wystawa powinna być jak najzupełniejsza — boć i Niemcy może zechcą przyjechać, żeby zobaczyć pozostałości po człowieku, któremu zawdzięczają, że są Niemcami.

Wystawa ta wielką ma doniosłość; ktokolwiek ma jakąś pamiątkę, powinien donieść o tem komitetowi w Krakowie.

BEZ TYTUŁU.

Pogodą się uśmiecha niebo lazurowe,
Świeżością tchną niewinną i łąki i gaje:
Ah cudną mamy jesień! nieraz mi się zdaje,
Że dni wróciły majowe.

Czasem wprawdzie, gdy cała przejęta zachwytem,
W hymnie cichym ślę Stwórcy uwielbień tysiące,
Widzę że słonko moje już blednie, i drżące,
Za czarną chmurą znika wraz z nieba błękitem.

Choć duszę żal serdeczny przenika do głębi,
Wnet przy nim na pociechę nadzieja się budzi,
Że przejdzie ciemna chmura co smuci i ziębi,
I słońce znów swym blaskiem rozraduje ludzi.

Emilia.

TRZY MIESIĄCE W CHORWACYI.

Wspomnienia z podróży po Austryi i Węgrzech

przez

LUIDEVITA PRIJATELI,

przekład J. B.

(Dalszy ciąg).

IX.

Nie na samym tylko placu Zrinskiego schodzi się towarzystwo Zagrzebskie. Porównano to miasto do „łabędzia spoczywającego w gnieździe gołębiem". Temi gołębiami są lesiste wzgórza opasujące miasto szerokim pasem zieleni, dotykającym do pięknego lasu Slemenskiego, wznoszącego się na najwyższym pagórku, zwanym *Zagrebaska gora*. Bujna roślinność tego lasu tworzy schronienie niedostępne promieniom słońca. Staraniem rozumnej municypalności poprzerzynano ulice i wygodne ścieżki wśród cienistych zarośli, korzystając umiejętnie z przypadkowych nierówności gruntu, zamieniono las w urocze miejsce przechadzki, w której mieszkańcy Zagrzebia w każdej porze roku mogą spotykać zabawy i przyjemności, jakie paryżanom zapewnia lasek Buloński i Vincennes.

Spacer ten nosi nazwę Tuszkanec. Była to ulubiona przechadzka żony bana Jellaszica, Zofii, i od jej imienia jedna z głównych alei nosi nazwę *Sophien Put*.

Z Tuszkanec można robić wycieczki w piękne okolice. Do takich należy Szestina, własność hrabiów Kulmer, posiadających tu jedną z najbogatszych winnic w Chorwacyi, założoną przez ojca ich, dawnego ministra, w wolnych od zajęć politycznych chwilach. *W Medved Grad* sterczą malownicze ruiny zamku wzniesionego przez króla Belę IV, w środku XIII stulecia; zamek ten był długo rezydencyą dawnych monarchów chorwackich, słynie on legendami przywiązanemi do wspomnień o Beatryxie Frangipani, żonie Jana Korwina, której duch strzeże tych ruin, oraz Barbary de Cilli, żony króla Zygmunta, którą z powodu jej okrucieństwa zwano *Czerna Kralitza*, czarną królową. W pobliżu Tuszkanecu stoi także starożytna kaplica Ś. Jakóba, na górze tejże nazwy, do której mieszkańcy Zagrzebia i okolic odbywają pielgrzymkę w końcu lipca.

W dzień Ś. Jakóba przeszło 20,000 ludzi wstępuję na górę; jedni, wiedzeni pobożnością, dążą do kaplicy processyonalnie po za duchowieństwem postępującem na czele, z chorągwiami przy odgłosie dzwonów i bębnów; drudzy pod pozorem nabożeństwa korzystają ze sposobności przyjemnej wycieczki i rozrywki w licznem towarzystwie, — ale dla wszystkich zarówno roztacza się prześliczna panorama doliny Sawy rozłożonej u ich stóp, której horyzont zamykają góry Styryi, Karyntii, Hercegowiny, Bośnii i Slawonii. Miejscowość ta wyniesiona jest 961 metrów nad powierzchnię morza.

Płaszczyzna góry Zagrzebskiej (Szelm) wyniesiona jest o 1,036 metrów po nad morze; jest to najwyższy szczyt góry w Chorwacyi, między Sawą i Drawą, z wyjątkiem góry Iwanczisza, zamykającej od północy dolinę Krapina. Z wierzchołka tej wyżyny można objąć okiem całą Chorwacyę od Warażdinu do Siosek, od Krapiny do Belovaru i Pozegi. Jest to prześliczny, w zachwyt wprawiający krajobraz.

Na ładnem wzgórzu u stóp góry Zagrzebskiej leży pałac Miroslav; dalej miejsce wiecznego spoczynku, cmentarz zwany *Mirogoy*, od lat kilku zamieniony jakby w prześliczny park, na wzór Père-Lachaise. W pobliżu *Remete* dawny klasztor Paulinów, założony w 1275 przez Medvedgrad'ów, a zniesiony przez Józefa II-go w 1786 r. Dalej *Bukowasz*, słynny ze swoich winnic, i nareszcie *Maximir* mogący wytrzymać porównanie z najpiękniejszemi na świecie parkami. Możnaby go nazwać Versalem Chorwacyi. Maximir, przyozdobiony przez kardynała Haulisza, którego był ulubioną siedzibą, pomimo że obecnie jest nieco zaniedbany, jest przecież najroskoszniejszem miejscem przechadzki nietylko w okolicach Zagrzebia ale i w całej Chorwacyi.

Dzieje Zagrzebia pełne są dawnych wspomnień,

ale mało bardzo jest w mieście starożytnych pomników. W dawnych, bardzo dawnych czasach, była to potężna forteca, wzniesiona nad brzegami Sawy, u stóp Szelmu na małem wzgórzu, po chorwacku *Gritch*, od którego nazwaną jest dziś ulica ciągnąca się naprzeciw Szkoły technicznej. Dziś, w wyższem mieście już nawet ślady szańców nie zostały, są tylko resztki po za domami przy ulicy *Mezczińskiej* i szczątki bramy przy ulicy *Długiej (Duga ulica)* od strony dawnego grodu królewskiego. Temi tylko dwoma ulicami można dojść do wyższego miasta. Przy ulicy *Bregovita* znajdują się schody około stu stopni liczące, istna drabina stercząca naprzeciw dawnego pałacu królewskiego, na miejscu którego wzniesiono gmachy Akademii Uniwersytetu i Gimnazyum.

U stóp szańców płynie strumień oddzielający niegdyś miasto królewskie od biskupiego. Mieszkańcy obu tych miast częste z sobą staczali walki, a wody strumienia niejednokrotnie mieszały się z krwią zapaśników. Oddawna już ustała walka bratobójcza, ale most rzucony nad strumieniem dla połączenia dawnego miasta Zagrzeb z *Kaptolem* czyli dzielnicą kapituły, zachował po dziś dzień starą nazwę *Krvavi most* (Most krwawy).

Gród biskupi wznosił się także na wzgórzu i otoczony był murem, którego ślady przechowały się po dziś dzień na ulicy *pod Zidom* (podszańcowej). Między szańcami temi a biegiem Sawy, u stóp gór Szelmu uformował się stopniowo grunt alluwialny, który powoli zamienił się w urodzajną dolinę, po łacinie *agger*, i ta wkrótce zaludnioną została przez rolnych kolonistów, z radością osiedlających się w miejscowości gdzie pracę ich osłaniały wały forteczne grodu, do którego mogli się schronić w razie niebezpieczeństwa. Większość tych kolonistów była pochodzenia włoskiego lub łacińskiego, i ztąd długo bardzo ta część Zagrzebia zwała się *agger* i vicus *latinorum*. Wielu dziejopisów utrzymuje że nazwa miasta *Agram*, po chorwacku *Zagreb*, powstała z łacińskiego *agger* (urodzajne pole); po chorwacku *grebesti* znaczy kopać, pracować koło roli, zaś *za*, za szańcami — ztąd Zagrzeb. Włosi nazywają to miasto *Zagrabia*. Słynny sławista Miklosicz, profesor Uniwersytetu w Wiedniu, twierdzi stanowczo że nazwa *Zagreb* powstała od łacińskiego wyrazu *agger*. Można wnosić że i niemiecka nazwa *Agram* z tego także powstała wyrazu.

Plac kapituły, *Kaptol* roztaczający się przed kościołem katedralnym, stanowiący obecnie środkowy punkt znacznej dzielnicy miasta, otoczony jest ślicznemi jednopiętrowemi domami z ogrodami i dziedzińcami. Możnaby sądzić że budowano je na wzór małych miasteczek w pobliżu Paryża, w końcu XVIII-go wieku.

Ładna ich, pełna prostoty, elegancyi i jakby zaotności architektura, przypomina styl Ludwika XVI, jaki widzimy w mieszczańskich domach w Saint-Germain, Compiegne i Rambouillet. Domy te należą do kapituły katedralnej i stanowią mieszkania kanoników i duchowieństwa metropolitarnego. Stanowią one uposażenie duchownych, posiadających prócz tego jakieś posiadłości ziemskie, dochód z których stanowi ich utrzymanie. Tak w miastach jak i w najmniejszych parafiach, duchowni pobierają dochody z gruntów kościelnych, co zapewnia im odpowiednie utrzymanie i niezależność. *(D c. n.)*

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

✠ Jedna z pań, jak to mówią, z wyższego towarzystwa warszawskiego, pragnąc przyjść z pomocą biednym kobietom szukającym zarobku, podczas dwukrotnej bytności za granicą, wyuczyła się roboty koronek z wyczerpaniem wszelkich szczegółów do tej pięknej roboty należących. Gdy jednak przyszło do ogłoszenia, iż umiejętność tę pragnie udzielać bezpłatnie, oświadczono jej, że musi wykupić konsens rubli coś podobno około 20 wynoszący. Zacna dama zrobiła to, ale w konsensie zastrzeżono, iż choć uczyć może, ale ogłoszeń o bezpłatnej nauce robić jej niewolno. Nauka więc bez ogłoszeń odbywa się w mieszkaniu tej zacnej i dobrej obywatelki bezpłatnie. Rozpisywać się o tem szerzej nie widzimy potrzeby: darowizny kapitałów na potrzeby kraju są rzeczą arcypożyteczną, ale najpożyteczniejszą wyuczenie go nowej pracy, podniesienie nieznanego przedtem przemysłu, który zajmując ręce miejscowe umniejsza wypływ pieniędzy za granicę. Żałujemy, że nazwiska pani tej wymienić nam niewolno.

✠ Czytamy w „Przeglądzie Katolickim", iż z mocy władzy, jaką Najwyższy nadał Namiestnikowi Chrystusa, Ojciec św. ogłosił miłościwe lato, nadające wszystkim wiernym zupełne odpuszczenie grzechów. Dla mieszkańców Europy jubileusz rozpoczyna się 19 b. m. to jest w dzień Ś. Józefa, i trwać będzie do 1 listopada, zaś dla wiernych mieszkających po za granicami Europy, od tegoż 19 marca do ostatniego dnia b. roku. Mieszkający po za wiecznem miastem powinni zwiedzić dwukrotnie trzy wyznaczone przez biskupa kościoły, jeźli jest dwa tylko kościoły zwiedzić je trzykrotnie, jeźli jeden sześć razy, modlić się za pomyślność Kościoła i Stolicy Apostolskiej, za wytępienie kacerstw i nawrócenie zbłąkanych, za zgodę, pokój i jedność ludów chrześciańskich. Dalej, prócz powyższych modłów, każdy powinien pościć dzień jeden oprócz dni postu, spowiadać się i komunikować, oraz dać jałmużnę według swej możności. Spowiednicy otrzymują władzę zamienienia tych warunków na inne dla chorych, dla więźniów i osób które z powodów od nich niezależnych, niektórych z powyższych spełnić nie mogą.

✠ Na posiedzeniu *Towarzystwa międzynarodowego literackiego* zostającego pod honorowem przewodnictwem Wiktora Hugo, p. Władysław Gasztowt, członek tegoż Towarzystwa, d. 14 p. m. miał odczyt o poezyi polskiej w XIX wieku. Prelegent wyjaśnił dokładnie całą doniosłość arcydzieł naszych, przedstawiając zarazem doskonałość ich formy oraz wybitną cechę narodową. Francuzi, przepełniający salę, przerywali mówcy częstemi oklaskami słuchając z zachwyceniem odczytywanych ustępów z Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, w przekładzie prelegenta. (Muzyka Jankiela, Wstęp do Przedświtu, Grób Agamemnona, Pierwsze spotkanie Tadeusza z Zosią).

✠ Pan Ludwik Horain, syn znanego Juljana Horaina, pisze do *Wieku:*

„Niedawno bawił u nas w *San-Francisco* król wysp Hawai, Dawid I. Kalakana, w przejeździe swoim do Europy. J. K. Mość odwiedził nasze „Towarzystwo polskie." W ciągu rozmowy oświadczył; że zwiedzi Warszawę i Kraków i rozpytywał się czy to prawda, że w Warszawie znajdują się najpiękniejsze w Europie kobiety, i że tam w jakimś ogrodzie odbywa się nieustająca wystawa pięknych kobiet?

Odpowiedziano J. K. Mości, że rzeczywiście Warszawa słynie z piękności kobiet, a Wystawa ich odbywa się w Saskim ogrodzie, ale tylko *w dni pogodne*. Król kazał szambelanowi swojemu zanotować tę wiadomość."

✠ W Darnetal, pod Rouen, we Francyi, istnieje jedyna może w Europie szkoła rolnicza żeńska. Kolonia ta kobieca przeznaczona jest przeważnie dla młodych dziewcząt uwolnionych z więzień, a powstanie swoje zawdzięcza zakonicy, siostrze Ernestynie, Siostrze Miłosierdzia więzienia w Bicêtre.

Pewnego razu udały się do niej dwie młode dziewczęta, tylko co uwolnione, błagając ją i zaklinając, aby je pozostawiono w zakładzie. Biedne nie miały rodziny ani schronienia, i pragnęły uniknąć grożących im w dalszem życiu niebezpieczeństw. Łzy ich wzruszyły siostrę Ernestynę, udała się zatem po radę do ks. Podvin, kapelana więzienia i idąc za nią obmyśliła przytułek, który stał się początkiem zakładu, dającego obecnie po 30 latach istnienia, schronienie, pracę, naukę i opiekę trzystu młodym dziewczętom. Pierwsze lata zakładu były bardzo ciężkie, później jednakże znalazł poparcie i pomoc, dozwalające zakupić dom i kawałek chleba.

Początkowo siostra Ernestyna, nie zamierzała zakładać szkoły rolniczej, i tylko w zbiegu okoliczności, instytucya powstała bez ściśle wytkniętego kierunku, zamieniła się w zakład gospodarczy.— Następnie przytułek ten (asile réfuge) od dość dawna już przeznaczony został przez ministerstwo spraw wewnętrznych dla dziewcząt wypuszczonych z więzień, które ze wszystkich departamentów przysełają do Darnetal. Za każdą z nich, departament, z którego pochodzą, opłaca 40 franków przy oddawaniu i po 60 centymów dziennie aż do ukończenia 15 lat, gdyż należy przypuszczać, że w tym wieku mogą już zapracować na siebie. Oprócz tego ministerym udziela corocznie zakładowi znaczne zasiłki.

Obecnie mieści się w tym zakładzie 306 dziewcząt różnego wieku, począwszy od 6 roku życia. Wiele z nich skazanych zostało za drobną jakąś kradzież chleba, cukru, jakiejś żywności, lub t. p., niektóre oddano tam w celu usunięcia złego przykładu jaki miały w rodzinie. W obszernych, widnych izbach zakładu, wychowanice zajmują się rozmaitemi robotami. Wykład nauk w klasach trwa tylko dwie godzin dziennie, resztę czasu przeznaczone jest na szycie bielizny, odzieży, pranie, prasowanie i t. p. Doroślejsze dziewczęta szyją na maszynach, poruszanych parą. Osobna maszyna służy do krajania bielizny. Sypialnie znajdują się w oddzielnym budynku i odznaczają wzorowym porządkiem i czystością. Zakład posiada ładny kościołek i kapelana. Oto jak pisze sprawozdawca jednego z pism niemieckich, który zwiedzał ten zakład.

„Oprowadziwszy mnie po zakładzie i kościele, kapelan zapytał czy nie życzę sobie zwiedzić folwarku. Na twierdzącą odpowiedź kazał zaprzęgać, a zbliżając się do stołu stojącego na boku, rzekł:

„Zatelegrafuję, żeby naprzeciw nam wysłano z folwarku konia, bo droga idzie pod górę. Telegraf ten, dodał, jest to dar pewnego duchownego protestanckiego, który zwiedzał nasz zakład. Idziemy z postępem, mamy już i telefony." Wózek zajechał; obowiązki woźnicy spełniała silnie zbudowana dziewczyna, a droga nie była dobra. U stóp pagórka na którym znajduje się folwark, oczekiwał koń do zaprzęgu. Przyjechała na nim bez siodła inna dziewczyna, zeskoczyła prędko, przyprzęgła, i wskoczywszy zręcznie na konia, pojechała naprzód. Zaledwie mogłem własnym wierzyć oczom, mówi

sprawozdawca, widząc na folwarku same dziewczęta, wykonywające bez żadnej pomocy mężczyzn, najcięższe roboty na bardzo nierównym gruncie.— Orały, nawoziły, siały, zwoziły paszę. Na obszernej łące pasło się 60—70 krów różnej rasy, pod dozorem kilku pasterek, których doglądała zakonica. W przeciągu jedenastu dni wychowanice zakładu wyrównały i wyszabrowały część drogi, mającą około dwóch kilometrów długości.

Na podwórzu folwarcznem dwie młode dziewczęta kuły konia, ze zręcznością wytrawnego kowala. Główną specyalnością zakładu jest hodowla bydła. Oprócz wspomnianej liczby krów, zakład posiada 23 koni, wiele nierogacizny i przeszło tysiąc sztuk drobiu. W małym ogródku, mającym 250 metrów kwadratowych, uprawiają się jarzyny, a mianowicie szparagi, dla swej dobroci drogo płacone w Rouen, co przynosi zakładowi 2,000 fr. rocznego dochodu.

Powietrze na folwarku jest tak balsamiczne i orzeźwiające, a twarze wychowanic tak świeże i zdrowe, że sprawozdawca zapytał kapelana, czy infirmenja jest potrzebna w zakładzie? Kapelan zapewnił, iż rzeczywiście prawie nie chorują, a nawet choroby inwentarza należą do nader rzadkich wypadków.

Szkoła rolnicza w Darnétal nie jest właściwie zakładem teoretyczno-naukowym ale stanowi doskonały zakład naukowo-praktyczny. Nauki udziela ks. Podvin, doświadczony rolnik i 25 zakonic, których przełożoną jest siostra Ernestyna. Ćwiczenia religijne ograniczają się do odmówienia pacierza rano i wieczór i wysłuchania Mszy św. a w niedzielę i święta zwykłego nabożeństwa. Dziewczęta pozostają w zakładzie do skończenia lat 18, poczem łatwo im znaleźć zajęcie zapewniające im byt, czy to przyjmując obowiązki ogrodniczek, czy gospodyń i szwaczek. Niektóre same proszą o dłuższy pobyt w zakładzie, a każdej przysługuje prawo przybyć do niego na czas pewien, w razie choroby lub braku zajęcia.

Siostra Ernestyna rządziła się słowami naszego wieszcza: „Mierz siłę do zamiarów, nie zamiar do siły” i dowiodła jak wielkich rzeczy dokonać może w dobrej sprawie poświęcenie i wytrwałość.

+ Na płaskowzgórzu Giesbach z którego spada sławny wodospad tegoż nazwiska w Szwajcaryi, zbudowana jest przez p. Abt'a, inżeniera kantonu Argowii, osobliwsza kolej. Wiadomo że wodospad Giesbach jest jednym z najpiękniejszych w Szwajcaryi; wysokość jego przenosi 200 metrów. Przez pięć miesięcy wiosennych i letnich, wodospad bywa wieczorem wspaniale oświetlony, i tłumy turystów przybywa podziwiać jego urok. Kolej p. Abt'a ma 350 metrów długości; w części zbudowana jest na skale, w części na pięciu mostach w dolinie. Służba odbywa się za pomocą dwóch wagonów umieszczonych na końcach stalowej liny, okręconej około walca pionowo utwierdzonego na samej górze. Podczas gdy jeden wagon idzie do góry drugi się spuszcza, bez pomocy żadnej siły poruszającej. Przy każdym wagonie jest rezerwoar napełniony wodą przy odejściu ze stacyi górnej, a ten dodatkowy ciężar sprawia, że wagon spuszczając się ku dołowi, ciągnie w górę drugi z którego wylano wodę, jak tylko stanął na dolnej stacyi. Na górze znajduje się odpowiedni zapas wody a na dole urządzony zlew do wylewania już niepotrzebnej. Kolej ta ma jedną tylko linię, z wyjątkiem samego środka odległości między dwoma stacyami; tu kolej jest podwójna na długości 50 metrów, i każdy wagon doszedłszy do punktu w którym droga się dzieli, skręca na prawo. Nie może być obawy aby się wagony spotkały, gdyż długość liny zapewnia, że znajdą się obok siebie w samym środku drogi, to jest tam gdzie linia jej jest podwójna.

W podobny mniej więcej sposób zbudowana jest kolej żelazna na Wezuwiusz, tylko ze tam daleko większe trudności do jej zbudowania miano do zwalczenia.

+ P. Michał Rossi podaje nader ciekawe rezultaty robionych przez siebie doświadczeń, wykazujących, że wybuchy gazu w kopalniach poprzedzone są lekkiemi drganiami mikro-seismicznemi, a mianowicie bardzo słabemi szmerami podziemnemi, które mikrofon ujawnia z wielką czułością. Proponuje więc na zasadzie tych badań swoich, aby obok kopalni węgla zakładać obserwatorya meteorologii podziemnej i dodania do używanych już barometrów i termometrów jeszcze mikro-seismografii a szczególniej mikrofonu. „Więcej niż jaki bądź inny przyrząd, mówi p. Rossi, mikrofon swoim świstem, sykiem i trzeszczeniem wykazałby zmiany i groźne maxima nagromadzenia się gazu palnego w łonie ziemi. Wskazówki te wraz z ostrzeżeniami, dawanemi przez baczenie na ciśnienie atmosferyczne, byłyby prawie nieomylnem ostrzeżeniem o zbliżającem się niebezpieczeństwie, a zatem dałoby się go uniknąć.” Rzeczywiście podobne obserwacye byłyby nader pożądane, a mikrofon mógłby niezaprzeczenie ważne pod tym względem oddawać usługi, i może nareszcie biedni górnicy uwolnieniby zostali od strasznej plagi wybuchu gazu w kopalniach, którego tyluset corocznie pada ofiarą.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie spacerowe. Suknia atłasowa, zdobna z dołu falbaną plisowaną a powyżej bufami i drubniutkiem przemarszczeniem. Drugą szeroką bufę przysłania trochę tunika. Okrycie z pelerynką czarne aksamitne, z podszewką atłasową, oszyte szeroką frendzlą szenelową. Kapotka atłasowa koloru berdeaux.

Ubranie spacerowe. Suknia kaszmirowa, okrycie z kapturkiem z ciężkiej faille. Kapturek ma w fałdach podszewkę kolorową, przybranie zaś z szerokiej koronki, frendzli z perełkami i kokard atłasowych.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 30 Марта 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 16 r. 1881.

PEŁNOLETNOŚĆ PANNY BRIDOT.

PRZEZ

KAROLA DESLYS.

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

Bridot miał słuszność; śmierć dotknęła go już swą mroźną ręką. Twarz jego była martwo bladą, ręce zlodowaciałe, oczy szkliste, szeroko otwarte, krwią zachodziły; w piersiach odzywało się rzrzerzenie.

Vauquelin spojrzał na Teresę, pomyślał o żonie i odpowiedział:

— A więc dobrze, przyjmę, ale pod tym warunkiem że pan zwrócisz...

— Tak, tak... wszystko co zechcesz... pióra... papieru...

Teresa przysunęła mu je śpiesznie.

Ojciec ucałował ją i przez kilka sekund spoglądał na nią z miłością i dumą, a następnie, zmuszając stygnącą już rękę do pisania, mówił do Pawła Vauquelin:

— Będziesz kochać moją córkę, wszak prawda?— będziesz czuwał troskliwie nad jej majątkiem... nie!.. nad nią... nad jej szczęściem!... Ale... nie mam już siły... podpisać... jednak trzeba... chcę... już... ach!

Ręka jego osunęła się nagle, głowa opadła na piersi. Skonał.

Teresa rzuciła się rozpaczliwie na jego zwłoki. Vauquelin wziął papier i przeczytał:

„Ustanawiam Pawła Vauquelin opiekunem Teresy Bridot, mojej córki i jedynej spadkobierczyni.

Józef Bridot."

— Jakto! zawołał Vauquelin, tyle tylko, nic więcej! O! w takim razie nie mogę podjąć się opieki, nie chcę aby...

Sierota podniosła na niego wielkie czarne oczy, zalane łzami.

— Biedne dziecko! szepnął, tak młodziuchna, sympatyczna, a już wystawiona na zgubne następstwa tego nieszczęsnego spadku. O! nie, nie mogę jej tak opuścić! Henryeta nie przebaczyłaby mi tego.

Domownicy i kilku bliższych sąsiadów stali już na progu, zaglądając ciekawie do pokoju; wśród nich ukazała się także wkrótce lisia fizyognomia pana Bonami, byłego obrońcy, mieszkającego przy ulicy Corbeau.

— Umarł! zawołał ze złością, Bridot umarł! a ja właśnie nabyłem kilka jego wierzytelności.

W tej właśnie chwili adwokat podawał rękę sierocie, mówiąc:

— Tereso Bridot...

Bonami zaczął przysłuchiwać się uważnie.

— Odtąd twoje miejsce będzie przy tej którą już kiedyś na pensyi nazywałaś matką. Pójdź więc ze mną... pójdź moje dziecię.

Wyprowadził ją śpiesznie z tego domu obciążonego tylu złorzeczeniami, jakby się obawiał żeby i na nią także nie spadło jakieś nieszczęście.

Były obrońca ścigał ją oczyma pałającemi chciwością. Zebrał już potrzebne mu wiadomości, a teraz mówił do siebie zacierając ręce:

— Ho! ho! Bridot miał córkę. W takim razie interesa moje nie stoją tak źle jak sądziłem.

II.

Śliczna miejscowość Trouville gdzie elegancki świat spędza letni karnawał, mile pieści oko, pięknemi krajobrazami, malowniczą zielonością zacienionych gajów i trawników, a nawet i piaszczystemi swemi wybrzeżami — jest to istny raj normandzki. Nawet owe oryginalne, krzyczące nieraz stroje kobiece, w rzeczywistości tak niezgodne z poczuciem estetycznem, pomieszane razem tworzą jakąś bawiącą oko pstrociznę, nie pozbawioną pewnego wdzięku. Ztąd to biorą początek najdziwaczniejsze, najśmieszniejsze nie raz mody, których źródłem zalotność lub próżność kobieca.

We dnie, w godzinie przypływu morza, wieczorem gdy wszystkie piękności zgromadzą się na tarasie, tworzą się grupy przechodzące w tę i ową stronę, następuje defilada w której błyszczą i mienią się odcienia najróżnorodniejszych barw, czerwonej, zielonej, żółtej, niebieskiej, białej, fioletowej, magenta, solferino, niby świetne kolory wiązanki kwiatów lub odcienia tęczy.

Wśród tego szeregu sztucznych i naturalnych piękności, nadzwyczaj trudno jest pozyskać palmę pierwszeństwa; ta co pragnie ubiegać się o nią musi być cudownie piękną, posiadać wdzięk i urok niewysłowiony w całem obejściu—wtedy dopiero przyznają jej ową buławę marszałkowską, jaką otrzymuje co lato gwiazda, królowa, lwica sezonu w Trouville.

Ostatniego sezonu buławę tę dzierżyła, śliczna, najwięcej dwudziesto-letnia dziewczyna, z gruzyjskim profilem, z koralowemi nieco pogardliwemi ustami, rozumnem czołem i połyskującemi jasnoszatyn włosami. Gdyby jakiś poeta z XVI wieku zobaczył wiotką, jakby utoczoną jej kibić i ruchy pełne zarazem wdzięku i godności, porównałby ją niezawodnie do której z bogiń Olimpu. Prześliczne jej czarne oczy, istne oczy almei, niezrównanym jaśniejące blaskiem, budziły ogólny podziw i uwielbienie.

Utrzymywano że jest bajecznie bogata — to też otaczał ją ciągle niezliczony hufiec wielbicieli i pretendentów; okazywała się względem nich nader kapryśną i wymagającą, i jak głosiła kronika, poddawała ich najfantastyczniejszym doświadczeniom i próbom, właściwym może w dawnych rycerskich wiekach, ale zupełnie nie pasującym do naszego zmateryalizowanego stulecia. Co do nazwiska—aż trzy jej nadawano. Jedni, widując ją zawsze w towarzystwie sławnego adwokata Vauquelin i jego żony nazywających ją córką, uważali ją naturalnie za pannę Vauquelin; inni, wiedząc że zamieszkuje w okolicach Trouville, w pałacu de Bussiéres i że wielka ta posiadłość stanowi część ogromnego jej posagu, obdarzali ją tytułem panny de Bussiéres; nakoniec byli i tacy, którzy cichaczem, ze złośliwą miną dowodzili że jest to poprostu Teresa Bridot.

I przyznać trzeba iż ci ostatni mieli zupełną słuszność; była to rzeczywiście Teresa, córka i spadkobierczyni słynnego Bridot.

Przyjęta w dom swego opiekuna, uważaną tam była jak córka, radość i pociecha obojga. Pani Vauquelin była uszczęśliwiona że dziewczę nazywało ją matką. Nie miała własnych dzieci, co tem boleśniejszem jej było, iż czuła w sercu nieprzebrane skarby macierzyńskiej miłości, których nie miała na kogo przelać. Wszak już w klasztorze, w dziecinnej naiwności swojej, Teresa nazywała ją mateczką — teraz rzeczywiście stała się nią dla niej. Upłynęło lat kilka; służba kilkakrotnie zmieniająca się w tym przeciągu czasu, nazywała ją najpierw panienką, później panną Vauquelin, adwokat i Henryetta nic nie mieli przeciw temu.

Panu Vauquelin sprawiało to nawet najżywszą przyjemność. Tytuł opiekuna nie odpowiadał jego życzeniom, wolał aby go nazywano ojcem, odpowiadało to więcej potrzebie jego serca, schlebiało poniekąd jego miłości własnej. Zresztą pokochał wkrótce to śliczne dziewczę, które okazywało mu wymownie swą wdzięczność i przywiązanie, odgadując prawie jego życzenia. Z jakąż to radością widział że pod jego dachem rozwija się tak pięknie, że z każdym dniem prawie w jej umyśle i sercu rozkwitają nowe przymioty. - Dotąd, pomimo że głęboko kochał żonę, która mu równie gorącem odpłacała się uczuciem, dom ich był trochę smutnym; nie było w nim dzieci. Teraz rozweselała go Teresa swoją żywością, swym szczerym i wesołym śmiechem. Gdy adwokat wracał z sądów, radośne powitanie przybranej córki budziło także radość w jego sercu; a gdy pisał wieczorem, spoglądał często na Henryetę i Teresę siedzące obok siebie z robótką lub książką w ręku, albo też tworzące przy kominku jedną z tych grup przedstawiających tak wymownie życie rodzinne, i mówił do siebie z pełnem słodyczy wzruszeniem, z uśmiechem na ustach:

— Nakoniec, ja także jestem ojcem!

I było to prawdą tak w jego przekonaniu jak w przekonaniu Teresy i Henryety; kochali się tak szczerze, tak głęboko, jak gdyby najbliższe związki krwi łączyły ich z sobą.

Panna Bridot, jak widzimy, była prawdziwie szczęśliwą. Wszyscy jej dogadzali, pieścili Henryeta kochała ją tak czule, była tak dobrą, tak wyrozumiałą; należała do rzędu tych kobiet które już na tej ziemi dozwalają nam pojąć co to są anioły!

Paweł Vauquelin nie był także zbyt wymagającym, chociaż pomimo swego przywiązania potrafił okazywać się surowym jeżeli mu to nakazywało jego przekonanie. Były chwile, w których opiekun umiał tak zmarszczyć brwi, że pupilka przestraszona spełniała pokornie jego wolę.

Nie trzeba z tego wnosić że Teresa była z natury skłonną do uporu lub nieposłuszeństwa, przeciwnie, w pierwszych latach, gdy żyła tylko wśród małego, domowego kółka, dawała dowody wielkiej słodyczy charakteru i zdrowego sądu o rzeczach, który potrafili jeszcze wzmocnić i rozwinąć jej przybrani rodzice. Ale gdy zaczęła bywać w świecie, spotkała tam jakąś tłumioną niechęć, jakąś pogardliwą zazdrość, która zraniła ją głęboko, zmroziła jej serce. Chciała poznać jakie mogą być tego powody i zaczęła pytać. Z kilku wymijających odpowiedzi domyśliła się wszystkiego, odgadła może nawet więcej niż było w istocie. Gorąca jej wyobraźnia przedstawiła jej złe w gorszem jeszcze świetle, zaczęła się uważać za jakąś paryę, której jedynie źle nabyte bogactwa i opieka człowieka słynącego z zacności charakteru, otwierały drzwi, które inaczej zamknięteby przed nią. Oburzała ją taka niesprawiedliwość. Miała zaledwie ośmnaście lat i nie popełniła nic złego! Przychodziła z uśmiechem na ustach, z wyciągniętą ręką; zaledwie że dotykano jej palców, a pod pozorami litości odgadywała niechęć i zazdrość.

W charakterze jej wyrobiła się jakaś cierpka drażliwość. Zamiast szukać u Henryety rady i po-

ciechy, milczała uparcie, i powiększała tem jeszcze swą bolesną ranę. Henryeta i Vauquelin rozumieli jednak dobrze co się działo w tem młodem sercu, i śledzili niespokojnie postępy złego, ale jakimże sposobem mogli pocieszyć Teresę, zmienić jej smutne położenie?

Wtenczas-to stała się kapryśną, samowolną, uganiającą się za oryginalnością; wtenczas nabrała zamiłowania do przepychu, zgiełku, do wszystkiego co mogło zadowolnić jej miłość własną; zaczęła prześcigać modę, ubiegać się za wszelkiego rodzaju zabawami. Na balach nie opuszczała żadnego tańca, w lasku była najśmielszą amazonką; wszędzie najwięcej podziwianą, najświetniejszą i najpiękniejszą.

Jeźli przybrani jej rodzice wyrażali jej swoją obawę z powodu tego jej upojenia, tego zamiłowania w uciechach światowych, wtenczas odpowiadała im:

— A! nie byłabym taką, gdybym była rzeczywiście waszą córką!

I z gorączkowem uniesieniem zarzucała ręce na szyję opiekuna, ściskała i całowała Henryetę.

Oboje natenczas spoglądali na siebie z takim wyrazem jak gdyby mówili:

— Biedne dziecko! nie łajmy jej, to nie jej wina.

Pod tą światową maską, pod tą powierzchowną wesołością ukrywała się przebijająca niekiedy pomimo jej woli nawet, duma, gorycz, szyderstwo. Chciała zmusić wszystkich aby ją podziwiali, składali jej hołdy; starała się odurzyć. Nie była szczęśliwą!

Tak, nie była szczęśliwą, bo potrzebowała kochać i być kochaną, bo niczego tak nie pragnęła jak szacunku poczciwych ludzi. Wyrzekłaby się chętnie przepychu i milionów za tę pewność że będzie kochaną. A czy zdoła kiedy pozyskać serce człowieka godnego jej miłości?

Toż samo pytanie nasuwało się często na myśl jej przybranym rodzicom, i wtenczas powtarzali z westchnieniem:

— Biedne dziecko! biedna Teresa!

Tak było aż do dwudziestego pierwszego roku jej życia. W początku lipca wyjechała z Henryetą do zamku de Bussiéres. Paweł Vauquelin odwiedzał je co tydzień, jeżeli tylko dozwalały na to liczne jego zajęcia. Witając w sobotę wieczorem żonę i przybraną córkę, mówił do nich z wesołym uśmiechem:

— Widzicie że trzymając się ściśle mieszczańskich zwyczajów, przybyłem aby przepędzić niedzielę w rodzinnem kółku!

Bywały często, zbyt często w Trouville, gdzie Teresa odnajdywała wszelkie przyjemności, upojenia i tryumfy życia paryzkiego. Za każdym razem pojawiała się tam w tualecie tak excentrycznej, tak oryginalnej, że wywoływała podziwienie wszystkich, gniew i zazdrość rywalek, pochlebstwa wielbicieli. To przejeżdżała pysznym ekwipażem à la Daumont, to malutkim i zgrabnym *poney-chaise*, powożąc sama, to znów konno, a w takim razie zawsze na pięknym i ognistym koniu. W godzinach kąpielowych każdy śpieszył nad brzeg morza aby zobaczyć tę młodą lwiczkę, piękną nawet w kąpielowem ubraniu, igrającą na pieniących się bałwanach jak prawdziwa syrena.

Nieszczęściem w Trouville nie zawsze można zawierzać morzu, nawet blizko brzegu, pęd wody bywa tam często bardzo silny, niebezpieczny nawet dla najlepszych pływaków.

Pewnego dnia Teresa odpłynęła dalej niż zwykle, podbudzana oklaskami oraz wyzywającemi przestrogami całego tłumu nerejd i trytonów. Spostrzegła nareszcie że jej grozi niebezpieczeństwo i chciała wrócić do brzegu, ale prócz gwałtowności odbijających się od wybrzeża bałwanów, pochwycił ją jeszcze silny pęd wody, i unosił na pełne morze.

Zbyt dumna aby wzywać pomocy, dość odważna aby przyjąć podobną walkę, usiłowała przezwyciężyć opierające się jej fale. Zaledwie jednak zdołała zbliżyć się trochę do brzegu i utrzymać się tam przez kilka sekund, nadchodziły nowe bałwany i odrzucały ją znowu dalej.

Siły jej wyczerpały się nakoniec, była pewna że utonie. Dalsze usiłowania przekonały ją tylko o bezużyteczności walki. Ręce jej były prawie bezwładne; długie włosy rozwinęły się i spadły na ramiona; w uszach jej szumiało; pulsa w skroniach biły gwałtownie; była pewna że umiera, ale nie przeraziła się tem wcale. Zdawało jej się że fale chcą ją ukołysać do snu wiecznego.

— Ha! pomyślała Teresa, choćbym też porzuciła na zawsze tę ziemię... droga niedaleka... niebo zdaje się stykać z morzem!

Nad brzegiem i na brzegu morza ciekawi i kąpiący się przyklaskiwali jej ciągle, sądząc że śmiała dziewczyna chce tylko dać dowód swej odwagi i umiejętności pływania.

Duma nie dozwalała Teresie żądać od nich ratunku; uważałaby to sobie za upokorzenie. Niezbyt daleko znajdowała się także łódź ratunkowa, ale korzystać z niej było to samo co wyznać że przecenila swoje siły. Lecz nieco dalej ujrzała biały żagiel łodzi spacerowej, płynącej właśnie w tę stronę; dozwoliła się unieść prądowi wody, zniknęła na chwilę z powierzchni, następnie bałwan wody uniósł ją w górę, przekonała się z radością że fale unoszą ją prosto ku łodzi, i rzekła do siebie:

— Będą sądzili że tam właśnie chciałam dopłynąć, i wrócę do nich tryumfująca!

Ta myśl przywróciła jej siły, i płynęła dalej śmiało, ale po kilku minutach zdawało jej się że łódź zamiast się zbliżać oddala się jeszcze od niej, płynęła dalej wytężając wszystkie siły, lecz nie mogło to już trwać długo. Znużenie przemogło, i Teresa zaczynała już tracić odwagę; utrzymywała się jeszcze na powierzchni ale już tylko fala unosiła ją dalej, a łódź była jeszcze daleko... czy nie zapóźno nadpłynie?

. . . .

Wejdźmy teraz do spacerowej łodzi i zobaczmy kto na niej płynie.

Znajdziemy tam dwóch młodych artystów. Jeden z nich nie zważając na kołysanie się statku, usiłuje naszkicować z natury pejzaż morski, drugi siedzi przy sterze z ręką wspartą na rudlu.

Ten ostatni może mieć koło trzydziestu lat, ma postawę szlachetną i dystyngowaną, a ręce zdradzają arystokratyczne pochodzenie. Ubiór jego był trochę fantastyczny, ale skromny i nie krzyczący, całą jego ozdobę stanowiła czerwona wstążeczka, założona w dziurkę od guzika: wstążeczka Legii honorowej.

Towarzysz jego stanowił w porównaniu z nim wybitną sprzeczność; był to prawdziwy typ artysty pochodzącego z ludu. Głowę jego pokrywał kalabryjski kapelusz przybrany paru zielonemi gałązkami. Wesoła i poczciwa twarz jego, ogorzała, czerwona, podobną była, jak sam utrzymywał, do twarzy satyra pędzla Rubensa, nos jego zadarty zdradzał zamiłowanie do awanturniczych przygód, małe, żywe oczy błyszczały dowcipem, śmiałością i odwagą. Musiał to być wesoły towarzysz, groźny wróg, nieoceniony przyjaciel. Całe jego ubranie składało się z aksamitu niegdyś zielonego, obecnie żółtawego.

Malował pośpiesznie, z gorączkowym zapałem. Chciał przedstawić malutki kawałek morza prawe jeden tylko bałwan uwieńczony pianą. Nagle łódź zakołysała się silniej i na dno jej potoczył się malarz wraz z swym obrazem.

Podniósł się z gniewem, przeklinając bałwany; a towarzysz jego zawołał śmiejąc się głośno:

— Przekonałeś się teraz, kochany Jacquemart, że nie można zmusić oceanu aby pozował. Fale jego są tak niespokojne i kapryśne że nie warto malować ich portretu.

— Łatwo to mówić tobie, Rajmundowi, którego obrazy rząd kupuje, u którego zamawia je nawet; tobie, pięknemu Rajmundowi, kawalerowi legii honorowej, a niedługo zapewne członkowi Instytutu. Gdy tymczasem ja, biedny Jackquemart, zrujnowany przez fotografię, portrecista bez roboty, napróżno umieściłem moje arcydzieła w Salonie trouvilskim, napróżno zrywam piersi głosząc moje pochwały na wszystkie strony świata, nikt dotąd nie objawił chęci abym unieśmiertelnił jego rysy. Zrozpaczony, porzuciłem niewdzięczną ziemię i postanowiłem błagać o natchnienie pani Amfitrydy. Może znajdę na dnie jej konchy, ciągnionej przez delfiny... A! cóż to ja tam widzę?... ktoś tonie... kobieta!...

Rajmund dostrzegł ją także, i już łódź jego posuwała się szybko ku niej.

— To któraś z kąpiących się dam, zawołał Jacquemart, zdaje się zemdlona!.. za chwilę pójdzie na dno!

Poczciwy chłopiec zdjął coprędzej aksamitną bluzę, ale Rajmund uprzedził go już, skoczył w morze w całem ubraniu, zniknął na chwilę z powierzchni, a następnie ukazał się tuż przy tonącej.

Uchwycił ją i podtrzymując ciągle doplynął do łodzi, wniósł ją do niej przy pomocy Jacquemart'a, i położył na dnie nieruchomą, z zamkniętemi oczyma.

Bladość uwydatniała jeszcze piękność jej rysów; zdawało się że to twarz wykuta z kararyjskiego marmuru. Przepyszne włosy pokrywały ją całą jakby królewskim płaszczem.

— Dalibóg! zawołał Jacquemart, prześliczna dziewczyna! jakby wyszła z pod pędzla Tycyana! Gdzież moje farby?... teraz mogę stworzyć arcydzieło!

— Pomyślmy pierwej o przywróceniu jej przytomności, powiedział Rajmund, klękając przy niej z niemem zachwyceniem, z poszanowaniem które tak doskonała piękność musiała budzić w sercu prawdziwego artysty.

Ale Teresa zaczęła już przychodzić do siebie. Zemdlenie jej pochodziło tylko ze zbytniego wytężenia sił, a może poczęści i z przestrachu.

Czując że się ktoś zbliża do niej, cofnęła się mimowolnie i otworzyła oczy. Dwaj artyści, widząc tę twarz bladą ożywiającą się nagle tak olśniewającem spojrzeniem, nie mogli powstrzymać okrzyku zachwytu i podziwienia.

Piękna nieznajoma podniosła się z żywością i rzekła gdy Rajmund chcąc ją wyzwolić z przykrego położenia, zarzucał swój płaszcz na jej ramiona:

— Przepraszam panów za podjęte dla mnie trudy i dziękuję.. Byłam podobną do Genowefy Brabanckiej...

— Z dodatkiem morza, rzekł Rajmund.

— Ale za to bez łani, dorzucił Jacquemart.

Rozmawiano już z sobą i żartowano tak swobodnie jakby przy spotkaniu w salonie.

— Cóż teraz jeszcze możemy uczynić dla pani? zapytał Raymund.

— Odwieźć mnie jak najprędzej do brzegu, bo mi bardzo zimno.

Skierowano natychmiast łódkę w stronę wskazaną, a następnie Raymund odezwał się znowu:

— Jakież są dalsze pani rozkazy?

— Rozkazy! zawołała, o nie! będzie to raczej prośba...

— Co pani sobie życzy?

Uśmiechnęła się z pewnem zakłopotaniem, jakby jej trudno było odpowiedzieć, ale po chwili odezwała się już spokojnie:

— Trudno byłoby mi wyrazić panom to życzenie, gdybym była mniej szczerą. Wyznaję więc otwarcie że miłość własna jest jedną z moich wad najmniejszych, i że nadewszystko obawiam się śmieszności. Otóż przedsięwzięłam rzecz przechodzącą moje siły, i życzę sobie aby sądzono że jej dokonałam. Niech mi panowie dotrzymają sekretu... niech się nikt nie dowie że gdyby nie wasza pomoc byłabym utonęła.

— Jak najchętniej, powiedział Jacquemart, tem więcej iż przyszło nam to z taką łatwością że nie byłoby się czem pochlubić.

— Sądzę że pani nie zamierza wrócić tak samo jak pani tu przybyła? rzekł Raymund.

— Niezupełnie. Podwiozą mnie panowie łodzią bliżej brzegu, gdzie prąd wody nie jest tak silny.

— A dalej?...

— Dalej... Zobaczymy to później.

Raymund oddalił się z ukłonem i uchwycił wiosło, Jacquemart trzymał już drugie.

Po kilku minutach nieznajoma zawołała:

— Teraz na mnie kolej!

W tejże samej chwili rzuciła się w morze.

Obydwaj artyści pochylili się jednocześnie ku miejscu w którem zniknęła im z oczu, ale wypłynęła prawie natychmiast i rzekła spoglądając na nich z uśmiechem:

— Przepraszam, zapomniałam wyrazić panom mojej wdzięczności... dziękuję więc raz jeszcze... do widzenia.

Odpłynęła i wkrótce całe towarzystwo powitało ją pełnemi zapału okrzykami i oklaskami.

III.

Jacquemart stał ciągle; jedną ręką trzymał się masztu, drugą zaś kłaniał się odpływającej.

— Wybacz piękna pani, że cię nie odprowadzamy. Wzywałem przed chwilą królowej morza; czy też nie jesteś czasem panią Amfitrydą? Jak ci się zdaje, Raymundzie?

Raymund milczał. Siedząc w łodzi rysował coś w swym albumie. Ciekawy Jacquemart pochylił się ku niemu i zobaczył że szkicuje z pamięci główkę pięknej nieznajomej.

— Ho! ho! zawołał żartobliwie, widać że ta wieszczka morza utkwiła nam w pamięci. Tak, to jej piękny profil, jej zachwycające spojrzenie!...

Zaczął śpiewać:

O! wróć, wróć do mej łodzi
Czarnooka greczynko;
Będziesz moją sułtanką,
Mem szczęściem i....

— A! przestańże, przestań, zawołał Raymund; śpiewasz tak fałszywie! Jest to typ rzadkiej, niezwykłej piękności... Nie chcę aby mi wyszedł z pamięci.

— I masz słuszność. Ten szkic może ci się kiedyś przydać. Ale dla mnie! jakiżby to był portret! Wsławiłby z pewnością moje nazwisko! Pójdę dziś wieczorem do Kassyna, będę ją błagał aby mi pozwoliła zrobić swój portret.

— Do Kasyna? czy ją znasz?

— Bynajmniej; tylko jak wieczorem gwiazdy ukazują się na niebie, tak piękne kobiety w Kasyno.

— Ho! ho! wyrażasz się bardzo poetycznie!

— Cóż w tem dziwnego? przecie nasza Amfitryda zasługuje na to!... Czy tylko czasem nie jesteś zazdrośnym?

— A! doprawdy stajesz się nieznośnym; idź do licha!

— No! nie gniewaj się. Zacznę znów malować morze, ale wyznaję że wolałbym odtwarzać rysy naszej ślicznej nieznajomej z wielkiemi oczyma, błyszczącemi jak czarne dyamenty!

Czy wy znacie w Barcelonie
Andaluzkę z cerą śniadą?

Raymund nie słuchał już wcale, myślał tylko o wykończeniu swego szkicu. W parę minut później, spojrzał na niego z zadowolnieniem, uśmiechnął się i zamknął album; następnie położył się w łodzi, wsparł głowę na dłoni, przymrużył oczy i kołysany poruszeniami fali, oddał się słodkim marzeniom.

Rozbudził go nagle głos towarzysza.

— Głodny jestem jak wilk! Słuchaj Raymundzie, czy nie moglibyśmy dopłynąć do porcyi bifsztyku?

Wpłynęli do portu. Zjedli obiad a następnie spacerowali nad brzegiem morza.

Zciemniło się już zupełnie. Kasyno oświetlone rzęsistem światłem, błyszczało wśród cieniów pogodnej nocy letniej. Wesołe dźwięki polek i kadrylów mieszały się z szumem morza. Oko spotykało wszędzie ożywione grupy, w ciemności snuły się one jakby chińskie cienie, w świetle, był to rodzaj kalejdoskopu, gdzie pod postacią ludzką przesuwały się w tę i ową stronę najżywsze, najsprzeczniejsze barwy.

— Wejdźmy do Kasyna, odezwał się Jacquemart, może znajdziemy ją w salonach. Chodź!

— Nie, wolę tu pozostać... nie pragnę jej widzieć.

— Nie udawaj próżno! Przed chwilą jeszcze mówiłeś...

— Nie przeczę, ale cóż chcesz, są wdzięki które nas przyciągają i odpychają zarazem. Dziwna rzecz! czuję że mógłbym ją kochać, a jednak wolałbym nie spotkać się z nią powtórnie... Boję się jej!

— Ha! to zaczekaj na mnie na tarasie... i pożycz mi rękawiczek.

Jacquemart odszedł.

Raymund usiadł na ławeczce i patrzył na morze po którego powierzchni przebiegały fosforyczne światełka. Niebo przerzynały świetne błyskawice. Powietrze było gorące, przesycone wonią i elekryczności. Raymund posiadał usposobienie nerwowe, na które, jak wiadomo, podobne warunki atmosferyczne oddziaływają silnie. Wstał drżący, niespokojny, zaczął chodzić po tarasie, a nakoniec zbliżył się do okna sali balowej, jakby go tam przyciągało światło i dźwięki muzyki.

W sali, naprzeciw niego, stała... ona!

Otaczał ją rój wielbicieli i niewolniczo naśladujących ją kobiet, ktore zwykle tworzyły jej orszak tryumfalny.

Raymund stanął jak wryty. Zdawało się że cała dusza jego skupiła się w oczach, zostawał pod wpływem artystycznego zachwytu.

Teresa ukazała mu się teraz w całym blasku swej piękności, w białym kaszmirowym kostiumie fantastycznego kroju, z różowym stanikiem i takiemże samem przybraniem. Wielkie jej włosy ujęte były w różową siatkę, w której zaledwie mogły się pomieścić, a prócz tego miała na głowie zgrabny kapelusik à la Tuddor przystrojony skrzydłem ibisa.

Raymond nie zdołał jeszcze oderwać od niej oczu, gdy Jacquemart uderzył go lekko w ramię.

— A! złapałem cię, rzekł cicho; ale cieszę się tem niewymownie, gdyż moja wrodzona nieśmiałość nie dozwoliła mi zbliżyć się do niej, a zatem przedstawić mej pokornej prośby co do portretu. Powinienbyś mi oddać tę przysługę, mój szlachetnie urodzony panie, ty co umiesz rozmawiać z arystokratycznemi damami... i tańcować!

— W takim razie oddaj mi rękawiczki, odpowiedział Raymond, szczęśliwy że ma czem upozorować zmianę pierwotnego postanowienia.

Nie był to bal tylko zwykłe wieczorne zebranie; miejsce orkiestry zastępował fortepian, na którym grały kolejno znajdujące się tam osoby.

Proszono właśnie Teresę aby powiększyła grono tańczących, gdyż dotąd nie brała wcale udziału w tańcu, ale czy to wskutek kaprysu czy też znużenia, odpowiadała niezmiennie:

— Nie, nie, kontredans i polka nie pociągają mnie dziś wcale, gdybym tańczyła, to już chyba walca, i to jeszcze walca Wagnera. Może kto potrafi go zagrać?

Zaczęto się wypytywać o jakim mówi walcu i o którym Wagnerze.

— O! bynajmniej nie o twórcy *Tannhauzer'a*, niezrozumianym Ryszardzie, Wagnerze przyszłości; mój nie jest tak ambitnym, chociaż posiada może więcej talentu od swego sławnego współimiennika; słowem jest to Eugeniusz Wagner, List teraźniejszości, nowy Thalberg, który dźwiękami swej muzyki wywołuje elfy i dżinny, i każe im tańczyć przy świetle księżyca na lazurowej powierzchni jeziora. Jakto! nikt go tu nie zna? Ależ on w Baden zachwycał wszystkich, nadewszystko ostatnim swym walcem *Lac de Thun*; niech mi kto zagra *le Lac de Thun*, albo już nigdy tańczyć nie będę!

Spoglądano na siebie z widocznem zakłopotaniem, nikt nie mógł zadowolnić jej życzenia. Wtenczas Raymund usiadł przy fortepianie i rozległy się dźwięki pożądanego arcydzieła.

Teresa poznała swego wybawcę, pięknego właściciela spacerowej łodzi. Ale zmuszona dotrzymać słowa, i pochwycona już w wir walca, mogła tylko zamienić z nim spojrzenie.

Raymond był wybornym fortepianistą; gra jego była pełną ognia, siły, szczególniej też w melodyi, w rytmie, posiadała coś oryginalnego, jakiś wdzięk nieopisany.

Wykonanie walca usprawiedliwiło zupełnie widzimisię Teresy; najlepszym tego dowodem były pełne zapału oklaski, któremi podziękowano Raymundowi.

Skoro wstał od fortepianu, zbliżyła się do niego pani Vauquelin, wsparta na ręku Teresy.

— Dziękuję, rzekła za to co pan uczynił teraz, a nadewszystko za to co pan uczynił dziś rano, dla tego szalonego dziecka.

— Tak, rzekła cicho Teresa z uśmiechem, ona wie wszystko, nie można nic ukrywać przed matką.

Gdy stały obok siebie można je było wziąść raczej za dwie siostry. Raymond nie pominął sposobności wypowiedzenia im tego zanim je pożegnał, chcąc wyjść z sali.

— Jakto! zawołała Teresa, nie żąda pan żadnej nagrody za tak znakomite przysługi?

— Gdybym nie obawiał się okazać zbyt wymagającym, odpowiedział Raymund, prosiłbym panią abyś chciała tańczyć ze mną tę redowę, którą właśnie grać zaczynają.

Henryeta przyzwoliła skinieniem głowy.

Zaczęli tańczyć; oboje byli tak piękni, a ruchy ich

odznaczały się taką pańskością że każdy z patrzących musiał pomyśléć.

— Otóż to śliczna i prawdziwie dobrana para!

Być może iż oni także podzielali to zdanie. Jakiś prąd sympatyczny zaczynał krążyć między nimi. Ile razy oczy ich spotkały się z sobą, uczucie słodkie, nieznane budziło się w ich sercach, jakby przeczuwali że przeznaczenie po to kazało im spotkać się z sobą, aby pokochali się wzajemnie.

Jednak po skończonym tańcu rozeszli się chłodno, bez widocznego wzruszenia, jak ludzie światowi, którzy wypadkiem spędzili razem kilka chwil przyjemnych, i może nie zobaczą się już więcej.

Raymund nie zdawał się nawet pragnąć bliższej znajomości, bo natychmiast wyszedł z sali.

Co do Teresy, zaledwie znalazła się w pośród swego dworu, zapytała śpiesznie, wprawdzie z olympijskim spokojem:

— Czy też kto nie zna tego pana? Ozdobiono go w tak młodym jeszcze wieku orderem Legii honorowej.

— Tak, ale zasłużył na to, odpowiedziano. Jest to Raymond, pierwszorzędny malarz. W Salonie były dwa jego przepyszne obrazy; czy pani nie zwróciła na nie uwagi?

Odpowiedziała wymijająco, ale w duszy cieszyła się tem, że jej wybawca był wielkim artystą, ogólnie uwielbianym i szanowanym.

W kilka minut później, wracała wraz z Henryetą do zamku de Bussiéres.

Raymund był już także daleko, wraz z Jacquemart'em, który czekał na niego na tarasie i powitał zapytaniem:

— No jakże. . czy wstawiłeś się za mną?

— Do kogo?—

— A do kogóżby jeżeli nie do niej!... co do jej portretu?

— Wybacz mój drogi, ale doprawdy zupełnie zapomniałem o tobie.

— Otóż to przyjaciel!

— No, uspokój się; poprosimy ją o to listownie. Czy pytałeś się o jej nazwisko?

— Słyszałem ze ją nazywano Teresą Vauquelin.

— Vauquelin? powtórzył Raymund, jakby przypominał sobie to nazwisko, ale było to widać jakieś niepewne wspomnienie, gdyż odezwał się po chwili:

— Nie pozostanę dziś na noc w Trouville, wrócę do młyna. Jak ci się zdaje?

— Już bardzo późno i matka twoja spać będzie. skoro tam.....

— Obudzimy tylko Bouquaille'a. Spojrzyj jaka piękna noc! będzie to prawdziwa rozkosz iść przez pola i lasy przy słabem świetle gwiazd!

— Oho! zawołał Jacquemart, wpadasz w poetyczne usposobienie; czy nie zakochałeś się przypadkiem?.. No! już milczę, nie marszcz czoła! Chodźmy.

Poszli obydwaj wybrzeżem górującem nad Trouville od północno-wschodniej strony.

Raymund miał słuszność. Trudno znaleźć coś rozkoszniejszego nad przechadzkę nocną w okolicach Trouville, zwłaszcza z tej strony. Z drugiej, ku Beuzeval i Cabourg, okolica jest płaska, jednostajna, nieożywiona, ale ku Hennequeville, Villerville, Criquebeuf Pennedepie, aż do Honfleur, to prawdziwa Szwajcarya normandzka, z zagłębionemi dolinami, wśród malowniczych wzgórzy, z pięknemi drogami podobnemi do wąwozów, wzdłuż których ciągną się płoty osłonięte zwojami pnących się roślin i kwiatów. Gdzie spojrzysz, wielkie drzewa, lasy, strumienie, stawy, młyny, łąki, skały, ruiny; tam zaś gdzie drzewa rosną rzadziej, widzisz połyskujące się morze, a dwie latarnie morskie w Heve zdają się patrzéć na ciebie, jakby dwoje wielkich, błyszczących oczów. Na każdym zakręcie drogi, za każdym krokiem jakaś niespodzianka, krajobraz nowy a przepyszny.

Artyści nasi szli wolno: Raymund poważny i zamyślony, Jaquemart zatrzymując się co chwila z oznakami podziwienia i zachwytu.

— Nie trzymajmy się tej drogi, zawołał nagle; szukajmy tajemniczych ścieżek, przedzierajmy się przez gęstwinę. Powrócimy trochę później, ale cóż to szkodzi! Księżyc i gwiazdy rzucają swe srebrzyste światło aż w głąb lasu, aż między zarośla. Idźmy przed siebie, dojdziemy zawsze do celu.

Przyśpieszył kroku, i to wybiegał naprzód i niknął w ciemności, to wracał do towarzysza, który szedł za nim milczący i zamyślony.

Jak długo to trwało? na to żaden z nich nie umiałby odpowiedzieć. To tylko pewna iż Jacquemart zatrzymał się nagle, oznajmiając że nie wie gdzie jest i w którą stronę trzeba się udać.

— Teraz na ciebie kolej, Raymundzie... Czas już abyś stanął u steru, bo co do mnie, wyznaję że nie umiem nim kierować.

Raymund podniósł głowę i spojrzał w koło siebie. Na prawo wzgórza okryte lasem, na lewo za olbrzymiemi bukami, wązka dolina przerżnięta strumieniem. Dalej i nieco wyżej, dość obszerna przestrzeń pokryta murawą i obsadzona jabłonkami, które rzucały cień szeroki na trawę. W lesie, wśród ciszy i ciemności przerywanych smugami światła, odzywał się niekiedy szmer głuchy, niewyraźny. Możnaby sądzić że to jedno z tych miejsc tajemniczych, na którem czarownice odprawiają sabaty, a wille zataczają tańcząc zgubne dla śmiertelnych koła.

— No cóż, zapytał Jacquemart, czy do naszego obuwia przyczepiło się zaklęte ziele, wprowadzające podróżnych na manowce, czy też błąkamy się po zaczarowanym lesie.

— W każdym razie dostaliśmy się już, jak widzisz do jego brzegu. Pójdź za mną wskażę ci drogę.

Poszedł ścieżką wijącą się na stoku wzgórza pokrytego lasem. Niekiedy gałązki zwilżone rosą uderzały ich po twarzy, lub też idąc potykali się o wystające korzenie. Niekiedy znów rozłożyste konary tak nie dopuszczały najlżejszego promyczka światła, że Jacquemart kierował się tylko za głosem Raymunda.

— Na wielkiego Manitu! wołał wówczas śmiejąc się, wyglądamy na dwóch Czerwonoskórych przekradających się do nieprzyjacielskiego obozu. Ja nazywam się Sokole-Oko, ty jesteś Unkasem, a imię twoje Szybkonogi-Jeleń. Starajmy się jednak wrócić do wigwamu starego Chingahooka, naszego gospodarza, bo już bardzo późno. Niech cię wielki Duch oświeci, młody Saszunie, ostatni z Mohikanów!... A! dostrzegam tam łąkę, na ktorej o ile mi się zdaje można spotkać Blade-twarze.

Wspomniana łąka była obszernem płaskowzgórzem, otoczonem wielkiemi drzewami w kształcie olbrzymiego łuku. Górowało ono nad oceanem zieloności, spuszczającym się aż ku morzu, i równie ruchliwem jak jego powierzchnia, i falującem silnie za każdym żywszym powiewem wiatru. W dali, piętrzące się wzgórza oblane niebieskawym cieniem, gdzieniegdzie szeregi topoli kołysanych wiatrem, szyba stojącej wody, ferma, dzwonica, tysiące zmian jakby umyślnie tam nagromadzonych, aby z tego kawałka ziemi utworzyć najcudowniejszy krajobraz jaki istnieć może.

— Przepyszne! zawołał Jacquemart. A! gdzież jesteście, Corot! Daubigny! Dzięki ci panie Księżycu! dzięki ci Dyano, że możemy napawać wzrok widokiem tego nocnego Edenu! O! założyłbym się że niekiedy spuszczasz się tu na twoim własnym promieniu, aby obudzić jakiegoś normandzkiego Endymiona! Lecz dość mitologii i liryzmu. Zdaje mi się że poznaję w której znajdujemy się stronie. Wszak jesteśmy blizko niezamieszkałego domku, zwanego szaletem?

— Tak, stoi tam na prawo, o kilkanaście kroków dalej.

— Wybornie! mogę więc służyć dalej za przewodnika. Zaufaj mojej trapperskiej zmyślności. Potrzebujemy tylko kierować się ku Arkanzas, to jest ku Sekwannie. Chodź za mną... Unkasie.

Ale Raymund szedł już w przeciwną stronę.

— Gdzie idziesz? zapytał go towarzysz; dokąd prowadzi ta droga?

— Do Bussiéres, odpowiedział Raymund ze smętnym uśmiechem.

— A! zawołał Jacquemart, nie zapominaj że przyrzekłeś matce...

— Pamiętam... ale tak późno w nocy nikt mnie nie zobaczy, nie spotkam nikogo... Jestem dziś w takiem usposobieniu, że nie potrafię oprzéć sie tej pokusie... Pragnę w tę śliczną noc popatrzéć choć przez chwilę...

— Raymundzie!

— Nie zamierzam dojść aż do pałacu... Spojrzę tylko dokoła... O! jakże dobrze poznaję, z jaką radością patrzę na te stare drzewa, tych świadków i przyjaciół mego dziecinnego wieku!... Przypatrz się sam, posłuchaj... czy nie zdaje się że i one poznają mnie także?... że pochylają ku mnie gałązki jakby mnie witały... że szelestem swych listków mówią do mnie: Witamy cię Raymundzie! witamy!

Jaquemart nie myślał już o żartach, i z troskliwością wynikającą ze szczerej przyjaźni, usiłował powstrzymać towarzysza.

— Strzeż się przyjacielu!... matka twoja obawiała się właśnie dla ciebie tego wzruszenia, tych wspomnień, tego żalu za przeszłością.

— Nie, nie!... niczego nie żałuję, jestem szczęśliwy...

— A więc cóż znaczy ta łza błyszcząca w twojem oku?

Raymund otarł ją śpiesznie.

— Czyżeś ty nigdy, przyjacielu, nie zapłakał z radości, zbliżając się do miejsca które było twoją kolebką, patrząc na twój dach rodzinny?

— Nigdy!... Urodziłem się w Paryżu... a dzieciom Paryża nie znane są te, że je tak nazwę, małe ojczyzny... Zresztą rozburzono już moją kolebkę!

— Co do mnie, odezwał się Raymund, jeżeli moja w rzeczywistości przeszła w inne ręce, to ją odzyskuję w moich marzeniach. Wierzaj mi, są rody których nie można wywłaszczyć zupełnie z ich posiadłości. Te lasy, łąki, fermy, nawet ten starożytny zamek, należą dziś do innych; ale dusza przeszłości, dusza mojego rodu jeszcze żyje w tem wszystkiem na co patrzę, w tem wszystkiem czego dotykam, nawet w tem balsamicznem powietrzu lasów którem teraz oddycham, nawet w tym wietrzyku którem mi chłodzi czoło! Może nie ma tu jednej żyjącej istoty, nawet psa coby mnie poznał teraz, ucieszył się z mego powrotu, ale spotykam tu tysiące martwych rzeczy, które zdają się pozdrawiać mnie życzliwie, wychodzić na moje spotkanie, pamiętać że byłem ich panem. O! możesz śmiać się do woli; nie wymagam nawet abyś mnie zrozumiał...

(D. c. n.)

Opis do N-ru 16.

N. 1 — 2. Ubrania domowe i spacerowe.

N. 1. Suknia z vêtement.

Przy bocznych szwach wysoko podpięte vêtement, z przodu jest od dołu szeroko otwarte, ażeby widać było suknię, ładnie ozdobioną bufkami i podwójnie złożonemi falbankami. Na modelu, przy sukni kaszmirowej w modnym, dzikim kolorze, plastron, kołnierz długi wykładany i mankiety były z materyału sznelowego w paski poprzeczne, przerabianego nitkami złotemi, co stanowi nowość wiosenną. Do oszycia vêtement służy frendzla odpowiednia z jedwabiu, szneli i nitek złotych.

N. 2 oraz 10 i 31 w N 17. Suknia ze stanikiem z długą baskiną.

Model sukni odrobionej z szafirowego jedwabnego repsu, ozdobiony był takiegoż koloru materyałem sznelowym w paski przerabiane nitkami złotemi i srebrnemi. Spódnica plisowana, zakończona u dołu 15 cent. szerokim, przestębnowanym wolantem, od góry z przodu przemarszczona była w małe, poprzeczne bufki. Na ryc. 31 w N. 17, dajemy model i miary draperyi bocznej; *a* przedstawia rodzaj *panier* zfałdowanego z brzegów bocznych podług krzyżyków i kropek, które daje się ze sznelowego materyału zarówno jak i 8 cent. szeroka plisa, przy gładko spuszczonej, bocznej części *b*. Tylną draperyę upina się z prostego, 160 cent. długiego bryta. Baskina stanika w równych odstępach, na 10 cent. długości, przecinana, u dołu podszyta jest plisowaniem; przody stanika i mankiety ogarnirowane koronką 6 cent. szeroką.

N. 3. Szeroki szlak do mebli, portjer i t. p. Haft z aplikacyą.

Na ciemno-karmazynowym aksamicie bardzo ładnie odbija aplikacya ze złotej i srebrnej brokateli, oszyta z brzegów 3-ma, jedna przy drugiej układanemi nitkami złotemi, a na niektórych figurach obwiedziona jeszcze sznureczkiem złotym lub srebrnym. Inne figury haftowane są naprzemian złotem i srebrem, a z brzegów obwiedzione takiemiż sznureczkami, któremi wyszyte także żyłki, kółka i wąsy. Złoty sznureczek okręcany grubym kordonkiem karmazynowym, zdobi wązkie szlaczki brzeżne. Ciemniejszy kolor deseniu oznacza złoto, a jaśniejszy srebro.

N. 4—8. Dwa welony ślubne koronkowe, albo ręcznie odrobione na tiulu

Obok wielkich welonów z jedwabnego tiulu bardzo modne są mniej przezroczyste, nie tak duże welony z prawdziwej koronki, formą mantylkową lub szalikową, jakie przedstawia ryc. 4 i 5. Gdy jednak prawdziwe koronki są bardzo drogie i nie dla każdego przystępne, można je zastąpić ręcznie odrobioną, cienką irlandzką koronką lub cerowaniem na tle z prawdziwego, nicianego tiulu. Do roboty koronkowej przy tle tiulowem trzeba dobierać bardzo cienkie tasiemeczki, spajane delikatnie odzierganemi nitkami. Przy cerowaniu kontury obwodzi się nićmi płaskiemi, świecącemi, a środki figur zarabia się kratkami i ceruje cienkiemi nićmi koronkowemi. Mnóstwo deseni do roboty koronkowej na tiulu znajduje się w Tygodniku Mód z roku bieżącego i przeszłego. Na ryc. 6 dajemy szlak dolny, a na ryc. 7 i 8 rzucik do cerowania na szalikowym welonie. Duże bukiety nad szlakiem i wązkie szlaczki boczne, podamy na następnym arkuszu z formami.

N. 9 — 13. Trzewiki wycięte, haftowane.

Obadwa modele odrobione być mogą na cienkiej skórce czarnej lub bronzowej, albo też na atłasie lub aksamicie, odpowiedniego do sukni koloru. Ryc. 9 przedstawia trzewik ślubny, biały atłasowy, wyszyty białemi, szklącemi, szlifowanemi perełkami, podług ryc. 10 i 11. Na skórce lub materyi czarnej wyszycie daje się perełkami czarnemi i metalowemi albo perełkami *irys*. Ryc. 12 przedstawia trzewik skórzany lub atłasowy czarny, ozdobiony podług ryc. 13 haftem płaskim różnokolorowym do cieniu.

N. 16 — 18. Ekran przed piec. Haft kolorowy w guście japońskim.

Ramy drewniane ekranu są oklejone pluszem meblowym, co stanowi nowość używaną nawet przy ekranikach toaletowych lub przed lampę. Deseń w guście japońskim złożony z liści w różnych odcieniach haftuje się na aksamicie, atłasie lub materyale zwanym *buret* filozelą i złotem. Próbki haftu i wielkości liści dajemy na ryc. 17 i 18.

N. 19 — 20. Książeczka do notatek. Płaskorzeźba na drzewie.

Rodzaj płaskorzeźby, jaka przed laty zdobiła szafy i skrzynie zamożnych francuzkich i niemieckich wieśniaków, jako owoc wrodzonej zdolności i pracy, obecnie należy do modnych zajęć kobiecych. Praca to dość łatwa i niewymagająca dużych zachodów ani przyrządów; trzeba tylko mieć gładkie deseczki z miękkiego drzewa, np. klonowe lub gruszkowe, ostry, spiczasty nożyk w mocnej oprawie, trochę znajomości rysunku, zręczności i wprawy. Najpierw przenosi się deseń na deseczkę, ku czemu służy najlepiej czarny grafitowy papier, któren trzeba pierwej wytrzeć białym gałgankiem, żeby deseczki nie posmolił. Linje deseniu muszą być mocno oznaczone, albowiem na nich polega dokładność rzeźby; wiele zależy od umiejętnego i pewnego wkładania noża, którego koniec powinien być trochę skośnie wkładany. Zarówno bardziej pogłębione jak i płaściejsze figury, trzeba zawsze wyrzynać z obydwóch stron, od konturów do środka, przytem ciągle deseczkę w ten sposób obracać ażeby obustronne zagłębienia noża schodziły się w środku figur, a wyrznięte wiórki same przez się odlatały. Najlepiej każden nowy deseń poprzednio na innym kawałku deseczki wypróbować, ażeby wiedzieć które części głębiej a które płaściej podbierać. Na ryc. 20 dajemy model w naturalnej wielkości do ryc. 19. Część deseniu jest jeszcze niewyrznięta, a strzałki wskazują w jakim kierunku nóż wkładać.

N. 25 — 39. Łóżka i różna bielizna na pościel

Ryc. 36 i 37 przedstawia dwa posłane nizkie łóżka, a ryc. 29 — 35 daje modele poszewek, kołder i ozdobnych prześcieradeł. Moda szerokich podwójnych łóżek z Ameryki coraz bardziej przenosi się i upowszechnia w Europie. Łóżka takie stawiają się głowami do ściany, a długiemi bokami do środka pokoju, w nogach zwykle przystawiony bywa szeslong z poduszkami. Nad łóżkiem powinien być rozpięty pawilon z mniej lub więcej bogatą draperyą z materyi lub koronek. Ryc. 38 — 39 przedstawia urządzenie sypialni, z łóżkiem gładko przykrytem pikowaną atłasową kołdrą, z bardzo ozdobnem, na guziczki przypiętem prześcieradłem. Dawniej na ozdobne prześcieradła i poszewki służyło tylko płótno lub batyst, dziś nawet do kosztownych haftów lub koronek używane bywają piękne bawełniane materyały, ani w białości ani w mocy nie ustępujące płótnu. Różne próbki kratek, siatki, haftu i nowych rodzajów ściegów do przyozdobienia poszewek i prześcieradeł, wraz ze wskazówkami objaśniającemi robotę, dajemy na ryc. 21 — 28 oraz na ryc. 11 — 22 w N. 17 Tygodnika Mód.

Ryc. 29 przedstawia poszewkę ozdobioną pasami zakładeczek $^{1}/_{3}$ cent. szerokich, przedzielanych kratką ażurową, a w około oszytą falbanką haftowaną. Na ryc. 30 dajemy model odpowiedniego prześcieradła do kołdry; całe wyłożenie ma 20 cent. szerokości, z której 4 zajmuje obrąb z dziurkami, 4 wstawka haftowana, a resztę zakładeczki i odstępy gładkie.

Brzeg wyłożenia oszyto falbaną 9 cent. szeroką, ozdobioną szlaczkiem haftowanym $2^{1}/_{2}$ cent. szerokim i zakładeczkami zajmującemi 2 centymetry.

Ryc. 34 — 35 i ryc. 22 w N. 17. Prześcieradło do kołdry i poszewka płócienna, ozdobione haftem kolorowym. Deseń na arkuszu z krojami do N. 14 i 15 Fig. 97—98, i na ryc. 22 w N. 17.

28 cent. szerokie wyłożenie prześcieradła, ozdobione jest szlakiem haftowanym turecką, kolorową bawełną. Część deseniu z dokładnem wskazaniem ściegów dajemy na ryc. 22, resztę na Fig. 97 i 98. Obrąb z dziurkami 3 cent. szeroki, oszyty jest niciąną 3 — 4 cent. szeroką koronką, ozdobioną wywodzeniem kolorowem. Górny brzeg poszewki zapinanej na guziki albo wązką wstążką sznurowanej, ozdobiony jest tak samo haftowanym szlakiem, przy którym mo[illegible]



N. 1—2. Ubrania domowe i spacerowe

N. 1. Ubranie z vêtement. N. 2. Suknia z długim stanikiem.

Zobaczyć przód do ryc. 2 na ryc. 9 w N. 18. model draperyi na ryc. 32.



N. 3. Szlak na meble, portjery i t. p. Haft i aplikacya.

z obydwóch stron dodać lub zupełnie odjąć listki, widoczne na ryc. 22.

Ryc. 38 przedstawia łóżko podwójne przykryte lekko podwatowaną atłasową kołdrą, której środek pikowany jest w skośną kratę, a szlaki gładkie pokryte siatką białą gipiurową, odrobioną podług ryc. 20 w N. 17. Brzegi kołdry oszyte są siatkową koronką.

Ryc. 39 przedstawia szeslong przykryty cienkiem suknem szafirowem, bogato ozdobionem szlakiem 70 cent. szerokim, haftowanym ściegiem krzyżowym. Jasne pasy robione były na płótnie kanwowem, jedwabiem ponsowym i niebieskim, a ciemne na suknie (z podłożeniem kanwy) jedwabiem ponsowym. Podobny haft zdobi szafirowe sukienne poduszki.

Opis do N-ru 17.

N. 1. Ubranie dla małego chłopczyka.

Odrobione jest z aksamitu i atłasu; półwcinana sukienka z ciemno-ponsowego aksamitu ma przody wzdłuż zapięcia założone w fałdę, a środkiem pleców dane trzy fałdy po 4 cent. szerokie. Falbana stanowiąca spódniczkę, zaplisowana w fałdy, jest w połowie z aksamitu a w połowie z atłasu; zamiast paska gruby jedwabny sznur ze złotem zakończeniem. Kołnierz i mankiety u rękawów z aksamitu i atłasu wyszyte złotym sznureczkiem; guziczki złote, do przybrania koronka żółtawa.

N. 2. Sukieneczka dla małej dziewczynki.

Podszewkę dopasowywa się gładko, a fałdy zakłada tylko ze zwierzchniego materyału, u dołu w odstępie 10 cent. od brzegu są one przyciśnięte plisą atłasową 6 cent. szeroką, przepinaną kokardami, a przy wykroju szyi przytrzymane są riuszą. U dołu sukienki plisowanie 5 cent. szerokie a nad niem koronka niciana 2 i pół cent. szeroka.

N. 3 — 4. Ubranie dla młodej panienki.

Rycina 3 i 4 przedstawia przód i plecy sukienki princesse z karczkiem, z przodu 11, z tyłu 13 cent. długim, wykończonej z różnego materyału i odmiennie przybranej. Biała batystowa sukienka zdobna jest wzdłuż przodu haftowanemi wszywkami 5 cent. szerokiemi, pasami zakładek i falbankami 3 cent. szerokiemi, karczek uszyty odpowiednio; u dołu sukienki trzy haftowane falbanki po 8 cent. szerokie. Blado-niebieska jedwabna szarfa 17 cent. szeroka z tyłu związana w kokardę, z boków przytrzymana jest czterema patkami, ogarnirowanemi falbaneczką. Na ryc. 4 widzimy sukienkę kaszmirową zdobną plisowanemi falbankami; patki i karczek plisowane drobniutko.

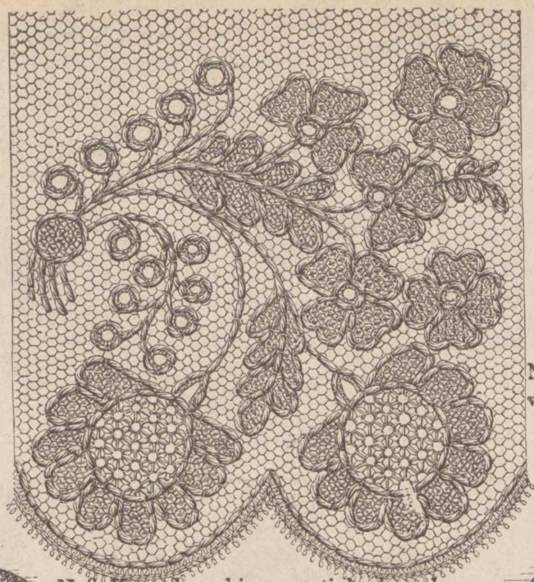
N. 6 — 8. Wiązanka kwiatów.

Oryginalny sposób ułożenia kwiatów nadaje się do pomieszczenia ukrytego kosztownego podarku lub dowcipnie obmyślanej niespodzianki. Nawet chusteczka, w której kwiaty są związane, stanowić może podarunek: może być kosztowna batystowa z haftem czy koronką, jedwabna odpowiednia na czepeczek lub modna w kratę szkocką na kołnierz marynarski. W środek chusteczki włożona podstawa tekturowa, licząca w kwadrat 38 cent., z czterech stron wycięta okrągławo do 7 i pół cent. głębokości, a następnie rogi ma wywinięte do góry. Na takiej

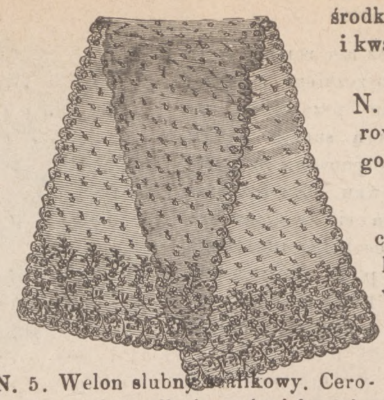
podstawie związuje się chusteczkę podług ryc. 6 i 7, a w cztery przedziały wsuwa się kwiaty ułożone podłużnie gałązkami na dół, tak, jak gdyby korzonki wysuwały się z pod węzła. Podarunek, jaki chcemy ofiarować, umieścić trzeba przed ułożeniem ostatniej gałązki kwiatów.



N. 4. Welon ślubny formą zaokrągloną. Cerowanie na tiulu albo robota koronkowa.



N. 6. Koronka robiona na tiulu do welonu, ryc. 5.



N. 5. Welon ślubny szalikowy. Cerowanie na tiulu albo koronka irlandzka.

sześć nitek obrabia się jako środkowe słupki w kółkach i kwadracikach koronki.

N. 15. Szlak z kratek ażurowych i haftu płaskiego, do bielizny na pościel.

Na maleńkie kwadraciki, stanowiące tło szlaku, wyciąga się i zostawia po cztery nitki; po obrzuceniu kratek środki kwadracików (co drugi kwadracik) zapełnia się ściegiem zwanym point de reprise, pajączkami jak w siatce lub t. p. Haft między kratkami i z brzegów dany ściegiem płaskim lub gobelinowym.



N. 9. Trzewik atłasowy. Deseń do wyszycia perełkami ryc. 10 i 11.



N. 12. Trzewik skórkowy. Deseń do haftu na ryc. 13.



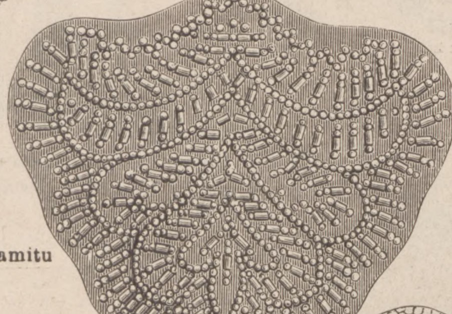
N. 14. Czepeczek z aksamitu i koronki.



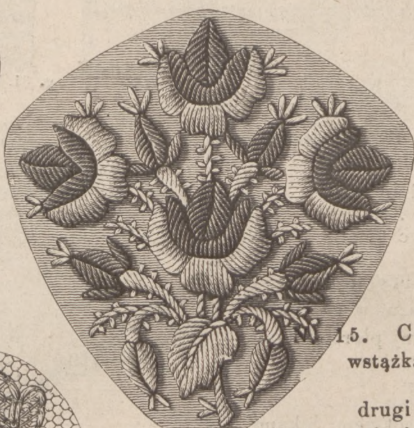
N. 15. Czepeczek ubrany wstążką i koronką.



N. 11. Deseń do wyszycia perełkami na przepięciu kokardy do trzewika, ryc. 9.



N. 10. Deseń do wyszycia perełkami na trzewiku ryc. 9.



N. 13. Haft płaski kolorami do trzewika ryc. 12.



N. 19. Książeczka notatkowa, wyrzynanie na drzewie. Zobaczyć ryc. 20.



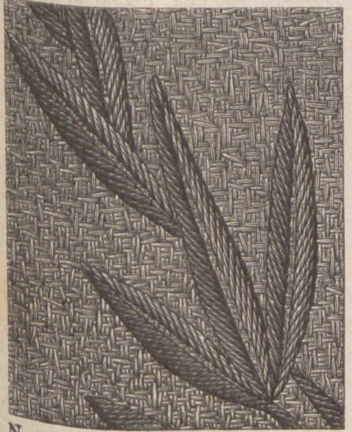
N. 7. Wywodzenie na tiulu. Rzucik do ryc. 4 i 5.



N. 8. Wywodzenie na tiulu. Rzucik do ryc. 4 i 5.

N. 9. Suknia z szalowem upięciem.

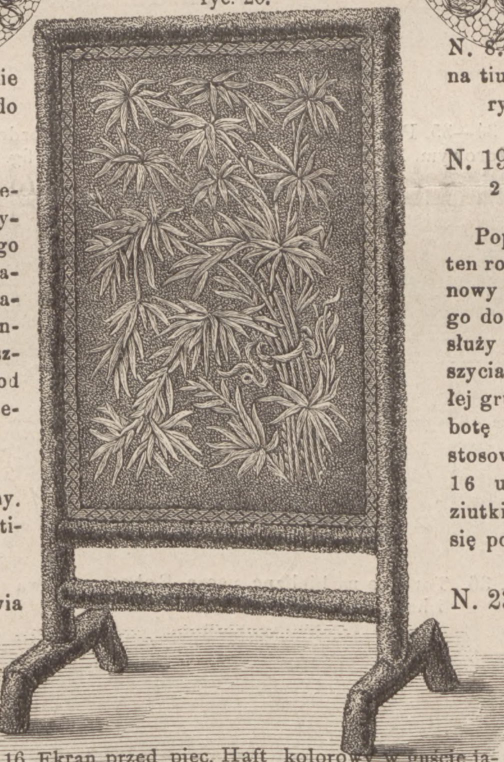
Zamiast atłasu i aksamitu wytłaczanego, można użyć dwojakiego materyału np. kaszmiru i deseniowego. Przód i boki sukni zakończonej plisowaniem 12 c. szerokiem, są aż po brzeg tuniki dane z aksamitu wytłaczanego. Tunika atłasowa składa się z odpowiedniej długości bryta 54 cent. szerokiego, z przodu przerzuconego nakształt szala, z tyłu fantazyjnie przewiązanego w kokardę z końcami. Długi stanik ma baskinę u dołu rozcinaną, zakończoną torsadą i frendzlą a przy pleckach zmarszczoną i podwiniętą w bufkę. Pod szyją riusza atłasowa 8 cent. szeroka.



N. 17. Cząstka haftu japońskiego do ryc. 16.

N. 13. Wszywka do bielizny. Kratka ażurowa i koronka reticella.

Próbka ryc. 13 przedstawia wszywkę robioną w jednym ciągu, można jednak kratkę ażurową w deseń grecki robić oddzielnie, a koronkę reticella stanowiącą szlaki brzeżne oddzielnie. Na kratki wyciąga się po 10 nitek, a na odstępy między deseniem zostawia po 12 nitek; końce wyciętych nitek trzeba podwinąć na lewą stronę i starannie zamocować. Na koronkę brzeżną z każdej strony wszywki wyciąga się po 5 nitek podłużnych, poprzecznie zaś w odstępach szesciu nitek wycina po 25 nitek; pozostające



N. 16. Ekran przed piec. Haft kolorowy w guście japońskim. Zobaczyć próbki roboty i deseniu naturalnej wielkości na ryc. 17 i 18.

N. 19 — 20. Szlak ściegiem włoskim lub plecionym. Patrz ryc. 21 — 24 w N-rze 16.

Poprzednio już opisywaliśmy ten rodzaj ściegu, dziś podajemy nowy wzór szlaku odpowiedniego do bielizny na pościel. Za tło służy cienkie płótno, a do wyszycia jedwab lub filozela w całej grubości; deseń na zwykłą robotę krzyżową daje się i tutaj stosować; ryc. 21—24 w N-rze 16 uczą wyszycia ściegów; wąziutki szlaczek brzeżny wyszywa się podług ryc. 24.



N. 18. Cząstka haftu japońskiego do ryc. 16.

N. 23 — 26. Kapelusze wiosenne.

N. 23. Kapelusz z płaską główką.

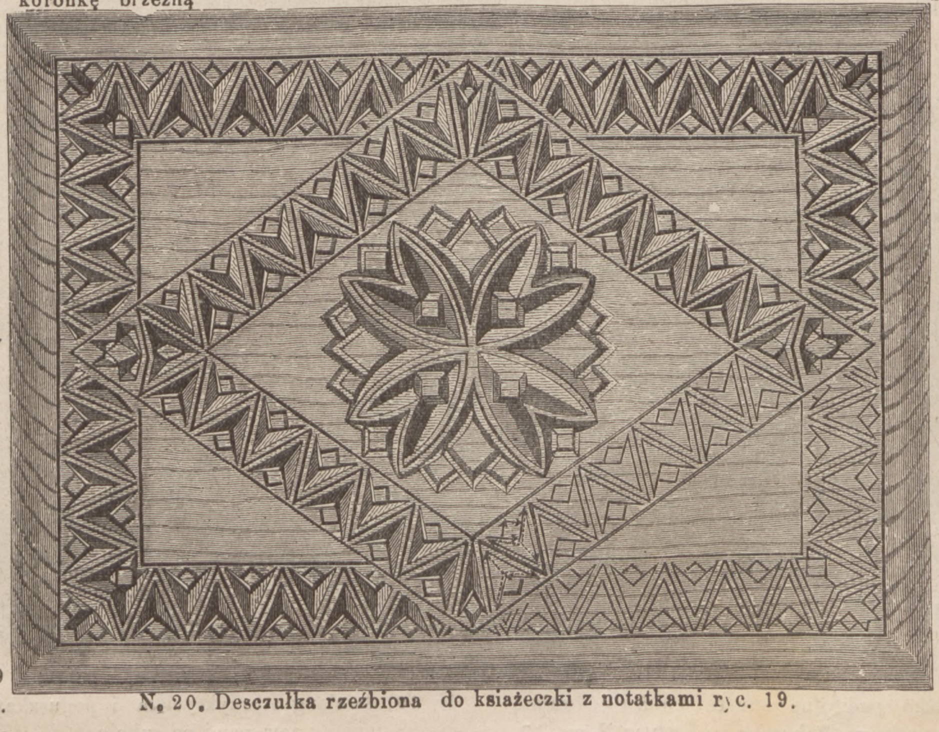
Główną odmianę w fasonach wiosennych stanowi kształt główki, która jest płaska i szeroka otoczona rondem małem lub dużem, spuszczonem lub odwiniętem. Model ryc. 23 był z cienkiej czarnej słomki, formą zbliżony do kapotki z wierzch rondka naszyta dwa razy koronka słomkowa 2 cent. szeroka, podszycie z blado-żółtego atłasu. Przybranie główki ułożone z wstążki atłasowej 8 c. szerokiej; rondko podpięte różami. końce do wiązania 4 cent. szerokie.



N. 21. Próbka roboty wązkiego szlaczku do ryc. 19 w N. 18. Ścieg 1-szy i włożenie igły na ścieg 2-gi.



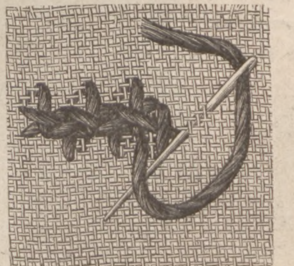
N. 22. Szlaczek wązki do ryc. 19 w N-rze 18. Włożenie igły na ścieg 3.



N. 20. Deseczka rzeźbiona do książeczki z notatkami ryc. 19.



N. 23. Szlaczek wązki do ryc. 19 w N-rze 18. Skończone 3 ściegi i włożenie igły na ścieg 4-ty.



N. 24. Wykończona część szlaczku do ryc. 19 w N. 18, z włożeniem igły na ścieg 1-szy.

N. 24. Kapelusz z wywiniętem rondem dla młodej panienki.

Czarny bastowy kapelusz ma rondo oszyte 1 i pół cent. szerokim brzeżkiem z jasnej słomki i podgarnirowane przemarszczaną w bufki materyą surrah koloru bordeaux z jasno-ponsową wypustką przy nagłówku. Zwierzchnie przybranie składa się ze skosa materyi 28 cent. szerokiego, ułożonego w kokardę, przepięte stalową klamerką, z dwóch krótkich cieniowanych ponsowych piórek i z bukie-



N. 25. Kratka ażurowa do ryc. 29, 31 i 32.

tu pelargonji.

N. 25 — 26. Kapelusze dla małych dziewczynek.

Rycina 25 przedstawia kapelusik filcowy biały z rondkiem pluszowem, zdobny dużem strusiem piórem i rozetą z wstążki atłasowej 6 cent. szero-

kiej. Na ryc. 26 przedstawiony kapelusik z jedwabnego pluszu w kolorze blado-niebieskim, przybrany piórami spadającemi przez rondko.

N. 27. Uczesanie z krótkiemi lokami.

Włosy rozdzielają się poprzecznie środkiem głowy na dwie części; tylna połowa odczesana gładko i związana, przednia zaś lekko podniesiona odwija się do tyłu i łączy razem ze związanemi włosami, które podpinają się w płaski pukiel a końce mają zwinięte w loki. Grzebień zakończony złotemi kulkami wpięty nad związaniem.

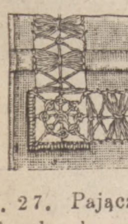
N. 28. Uczesanie z długiemi lokami.

Środkiem głowy włosy rozdzielone są poprzecznie i przednia połowa lekko zafryzowana, odwinięta jest do tyłu. Tylne włosy po związaniu rozdzielone są na trzy równe części; środkowy promień zwinięty w loki a boczne upięte w pukle. Z boku przypięta gałązka róży.

N. 29 — 30. Ubrania wizytowe.

N. 29. Suknia z paletocikowym stanikiem.

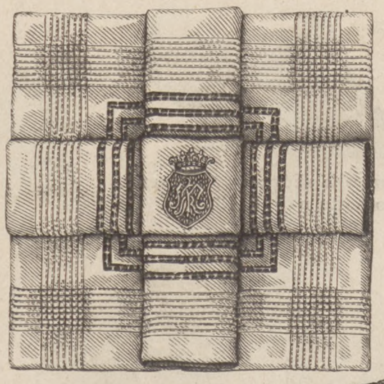
Suknia z blado-różowego jedwabnego repsu, przybrana jest szerokiemi białemi koronkami. Stanik paletocikowy z bardzo długą gładką baskiną, ma przody do wcięcia stanu zapięte na dwa rzędy a u dołu odcięte w rodzaj kamizelki, efektowne przybranie z koronki dodaje się podług ryc. 29. Głęboki kwadratowy wykrój szyi dopełniony wykładanym kołnierzem; w około szyi riusza koronkowa i łańcuszek z medaljonem. Wypustki i kokardy z atłasu. Na głowie upięcie z piórek.



N. 27. Pajączek w narożniku i kratka do ryc. 29, 31 i 32.



N. 29. Powłoczka ozdobiona kratką ażurową. N. 30. Prześcieradło haftowane pod kołdrę.



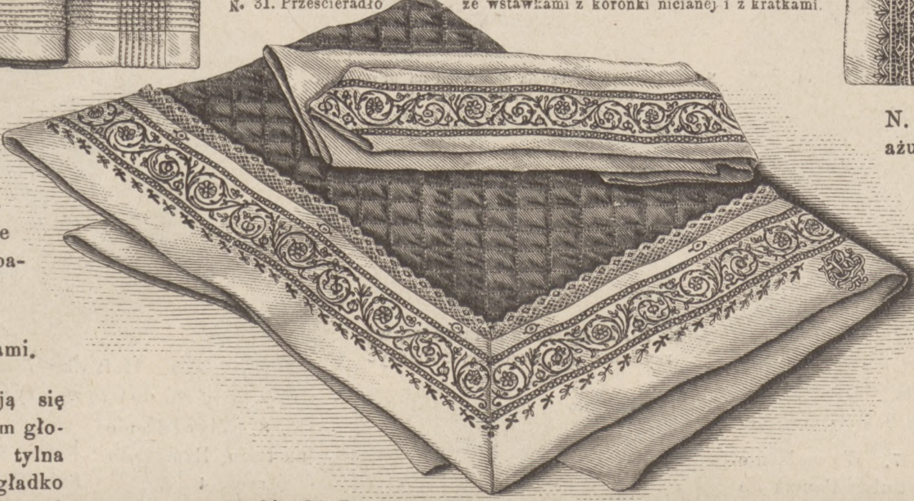
N. 32 Powłoczka ozdobiona zakładkami i kratkami. Zobaczyć kratki i narożniki ryc 27 i 28.



N. 31. Prześcieradło ze wstawkami z koronki nicianej i z kratkami.



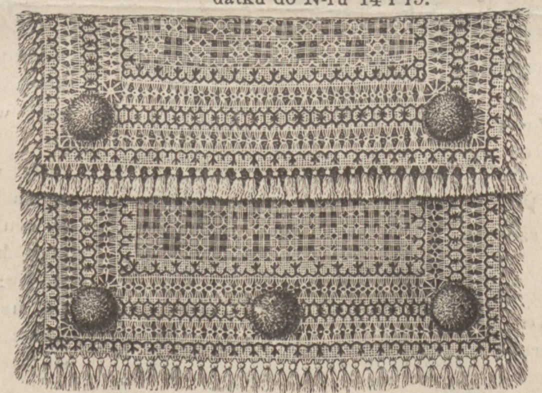
N. 33. Poszewka ze szlakiem robotą ażurową, zobaczyć ry. 15 w N. 17.



N. 34—35. Prześcieradło pod kołdrę i powłoczka ozdobione haftem kolorowym. Zobaczyć szlak na ryc. 22 w N. 18 i na fig. 97 – 99 w dodatku do N-ru 14 i 15.



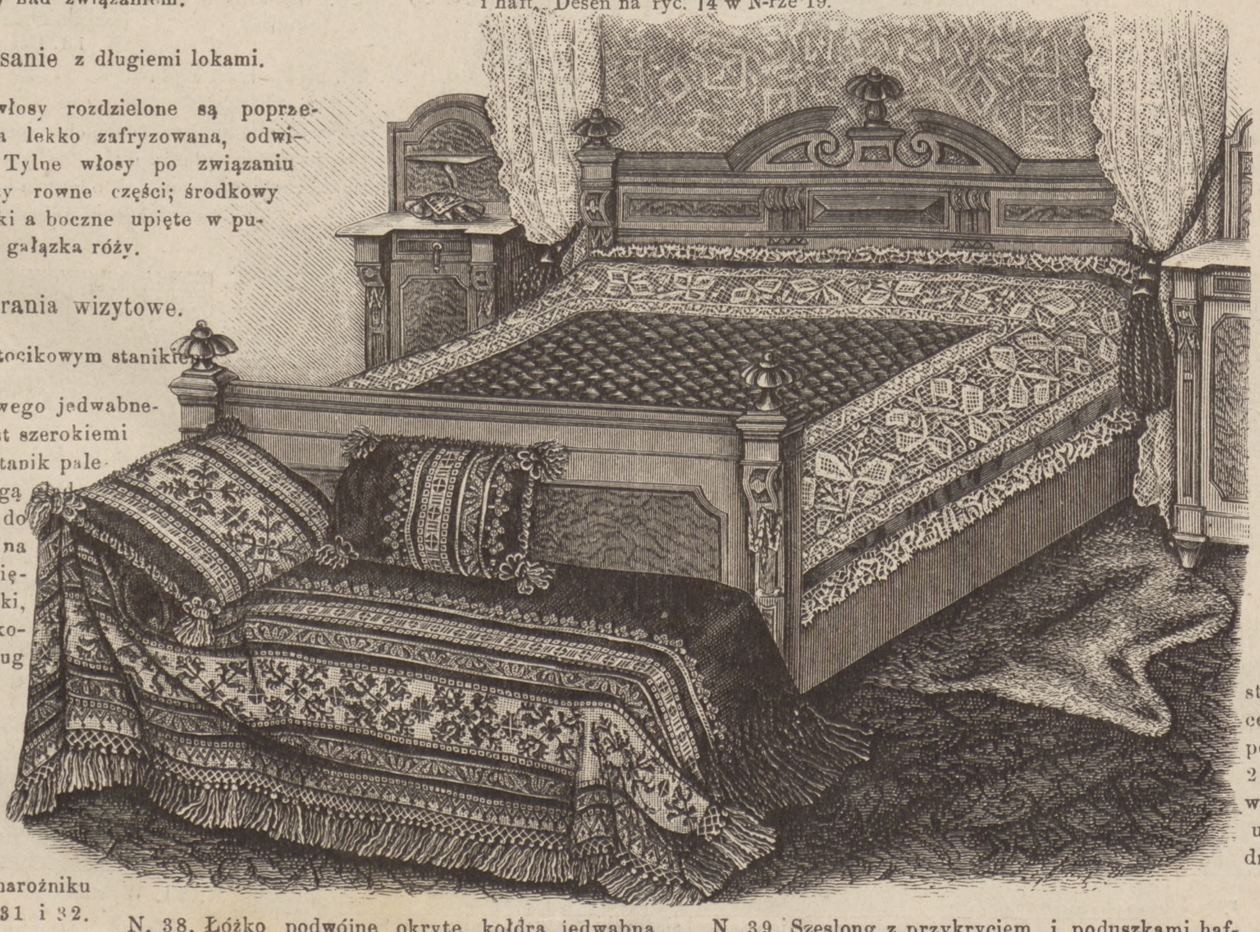
N. 36. Łóżko posłane.



N. 36. Torebka na bieliznę nocną. Robota ażurowa i haft. Deseń na ryc. 14 w N-rze 19.



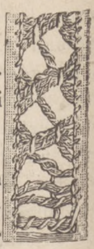
N. 37. Łóżko posłane z wałkiem pod głowę i spuszczonem prześcieradłem.



N. 38. Łóżko podwójne okryte kołdrą jedwabną z wstawką siatkową. Zobaczyć ryc. 20 w N-rze 17. N. 39. Szeslong z przykryciem i poduszkami haftowanemi na suknie.

N. 30—31. Vêtement z wysokim kołnierzem i rękawami w bufki.

Suknia z wielkim trenem i stanikiem bawetowym z tyłu zapinanym odrobiona z adamaszku viel-or ma vêtement z aksamitu maron zapięte na patki ze złotemi klamerkami. Oryginalną nowość stanowi wysoki stojący kołnierz z aksamitu i atłasu i rękawy podniesione w bufę, na ramieniu dopełnione rękawkami z żółtawej krepy. Formę rękawów aksamitnych wskazaliśmy w zmniejszeniu na ryc. 31.



N. 26. Kratka ażurowa do ryc. 29, 31 i 32.

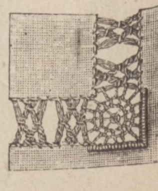
Opis do N-ru 18.

N. 1. Ubranie spacerowe z paletocikowym aksamitnym stanikiem.

Cały przód i boki kaszmirowej sukni zagarnirowane są wązkiemi marszczonemi falbankami i plisami aksamitnemi; garnirunek ten z boków przedzielony jest pasami fałdowanemi, przypiętemi rozetami. Z tyłu upięta draperya z bryta prostego. W miejsce spacerowego wachlarza mała parasolka „marquise".

N. 2 i ryc. 26 w N. 19. Sukienka dla dzieci lat 1 — 3. Krój N. VI Fig. 31—32.

Chcąc uniknąć zeszycia w środku karczka z przodu, można zwierzchni materyał wyciąć w obydwóch częściach, aż do linijki oznaczającej miejsce garnirunku, dać w to miejsce kawałek nieprzecięty, którego wstawienie przykryją bufki przemarszczane ze skośnego kawałka, 2 cent. szerokie. U dołu poniżej wcięcia w stanie przemarszcza się sukienkę 5 — 8 razy podług znaków, a pod pozostały brzeg 11 cent. szeroki, podszywa się 22 c. szeroką, w kontrafałdy ułożoną spódniczkę. *d.n.*



N. 27. Pajączek w narożniku i kratka do ryc. 29, 31 i 32.



Pl. 463.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.